WTOREK Nr 7 85-01-15 Cena 5 zł

# ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW




*BYĆ SAMORZĄDNYM (21)*

## O POSTĘPOWYM TRADYCJONALIZMIE

*Słowo „samorządność" jest teraz jednym z najczęściej używanych słów w publicznych środkach przekazu. Zazwyczaj dotyczy ono świata ludzi dorosłych; spory o samorządność zakładu pracy, wyższej uczelni, spółdzielni rolniczej itp. mówią o tym, że chodzi jednak o pewien TRWAŁY STATUS SAMORZĄDU, trwały przynajmniej na kilka lat. Stąd pochodzi pewne nieporozumienie: w wielu szkołach powstają i działają samorządy uczniowskie kopiujące te wzory ze świata załóg pracowniczych. A więc stałe struktury, funkcje, dokumentacja, zebrania, wybory, sprawozdania etc. okazuje się w praktyce, że procedury takie przeniesione mechanicznie do szkoły - ZASTĘPUJĄ SAMORZĄDNOŚĆ.*

*W zakładzie pracy przez całe lata podstawowy trzon załogi jest złożony z tych samych ludzi. Działają oni w różnych organizacjach, także samorządowych, nabierają doświadczenia, budują tradycje, czasem wpadają w pewną rutynę, ale czasem też wprowadzają różne innowacje.*

*W szkole mamy co roku do czynienia z nową sytuacją. Najstarsze klasy („doświadczeni samorządowcy") odchodzą w świat, przychodzą zaś uczniowie nowi.*

*Wszyscy zaś są o rok starsi i o rok mądrzejsi. Nowe wybory, nowy pr ogram, nowa sytuacja, inne problemy niż rok temu i niż te, które będą za rok. Samorząd szkolny co kilkanaście miesięcy musi odradzać się jak Feniks z popiołów. Stąd jego niestabilność i pewna tymczasowość. A jednak...*

*A jednak - obok tych zmiennych potrzeb i sytuacji, mimo stałe zmieniających się ludzi, są pewne „stałe elementy gry". Jeśli samorząd w jakimś momencie dopracował się sposobu interweniowania u nauczycieli w sprawie niesprawiedliwych ocen albo sposobu rozstrzygania konfliktu, albo jakiegoś atrakcyjnego modelu gazetki uczniowskiej to nawet po odejściu najaktywniejszej grupy, następna rada uczniów przejmie to doświadczenie jako swoje, może je nieco zmodyfikuje, nieco wzbogaci, ale będzie korzystać z doświadczenia poprzedników. Tak powstają tradycje samorządu. Nie trzeba na nowo odkrywać Ameryki. Ale i nie wolno kurczowo trzymać się schematów. Samorząd musi być żywym organizmem.*

*Julian Konstanty*

## LOKOMOTYWA NA GAZ - JUŻ JEŹDZI!

**ZSRR (PAP).** Gaz ziemny może okazać się poważnym konkurentem paliwa dieslowskiego także na trasach kolejowych. Przeprowadzone w ZSRR obliczenia wykazują, że lokomotywa spalinowa na skroplonym gazie pracuje nie gorzej niż tradycyjna.

Dotychczas skroplony gaz ziemny traktowany był jako paliwo alternatywne, przede wszystkim dla samochodów. Eksperci uważają, że może on być wykorzystany jako paliwo także w transporcie kolejowym.

Specjalna cysterna długości ok. 20 m może zapewnić przejazd bez tankowania na odległość 1,5 tys. km. Lokomotywa na ciekłym gazie zużywać będzie na dobę 35-4 tony paliwa. Jest to nieco więcej niż potrzebuje lokomotywa spalinowa. Jednakże niska cena gazu i jego duże zasoby czynią opłacalnym zbudowanie lokomotywy gazowej. Tym bardziej, że współczynnik sprawności silnika na paliwie gazowym jest wyższy od wskaźników najlepszego silnika benzynowego. Niemniej ważna jest strona ekologiczna zagadnienia: zastosowanie gazu w transporcie zmniejsza zanieczyszczenie powietrza.

## POD JEDNYM DACHEM NA CZTERECH SCENACH

Znany na całym świede Friedrichstadtpalast z Berlina - stolicy NRD, od dłuższego czasu nie posiadał własnej siedziby: użyczały mu jej gościnnie inne teatry w mieście. Z przyczyn technicznych, stary zniszczony gmach teatru został w roku 1980 zamknięty. Powstał problem — co dalej ze słynną rewią? Po długich dyskusjach zapadła decyzja: budujemy nowy teatr!

Dziś, wysiadając ze stacji S-Bahn „Friedrichstrasse" już z daleka widzimy nowy, wspaniały gmach teatru. Został zbudowany w rekordowym czasie 39 miesięcy: przy jego wznoszeniu wzięły udział najbardziej renomowane przedsiębiorstwa z NRD, a także brygady młodzieżowe działające pod patronatem FDJ.

Bryła gmachu jest bardzo okazała: posiadał 10 m długości, 80 m szerokości i 20 m wysokości. Najwyższym punktem jest wieża sceny - wznosi się na wysokość 32 metrów. Do teatru wchodzimy przez wspaniałe foyer,' wyłożone marmurem o kolorze białym i jasnożółtym. Schodami idziemy na piętro i poprzez jedno z licznych wejść - do sali głównej. Jest ona utrzymana w ciepłej tonacji, a krzesła wykonane z ciemnego drewna mają obicia w kolorze dojrzałego wina. Sala może pomieścić 1900 widzów. Ma ogromną, obrotową scenę i supernowoczesne zaplecze, wyposażone w najnowocześniejszą technikę. Pozwala ona np. zamienić scenę w basen kąpielowy, sztuczne lodowisko, arenę cyrkową...

Bocznym wejściem wchodzimy na tzw. małą scenę, której wystrój utrzymany jest w tonacji ciemnoczerwonej. Tu ma swoją siedzibę galeria i teatr „Jajko". Tu co wieczór rozpoczyna się program varieté, trwający aż do rana.

Każdego dnia w nowym, wspaniałym gmachu teatru rewiowego można zobaczyć cztery przedstawienia: w sali głównej spektakl dla dzieci oraz rewię, w sali małej - przedstawienie „Jajka" oraz program nocnego varieté.

Warto, będąc z wizytą w Berlinie, odwiedzić budynek przy Friedrichstrasse nr 107.

**JÓZEF CYPEL**
Fot. **autora**



## „UDAM SIĘ, ABY NIEŚĆ POMOC"

Ta karta jest jedną z pierwszych w pierwszej z kilkudziesięciu opasłych ksiąg Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Zwyczaj zapisywania na gorąco każdej akcji ratunkowej obowiązuje już 75 lat.

W1907 roku na zebraniu Towarzystwa Tatrzańskiego w Zakopanem padła myśl stworzenia stałej górskiej służby ratowniczej. 7 lutego 1909 roku ukazała się opracowana przez kapitana marynarki, poetę, malarza Mariusza Zaruskiego i kompozytora Mieczysława Karłowicza odezwa do społeczeństwa o utworzenie Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

TOPR powstał jako czwarta tego typu organizacja na świecie. Pierwszych jedenastu ochotników przyrzekło „pod *słowem honoru, że dopóki zdrów będę, na każde wezwanie naczelnika lub jego zastępcy bez względu na porę roku, dnia i stan pogody - stawię się w oznaczonym miejscu i godzinie i udam się w góry w celu niesienia pomocy ludziom jej potrzebującym...*"

Od 75 lat pełnią górscy ratownicy służbę we wszystkich polskich górach bez względu na porę roku, dnia i stan pogody.

**(wk)**

| | |
|---|---|
| Imię i nazwisko osoby zaginionej | 1. Stanisław Szulakiewicz<br>2. Klimek Bachleda |
| Miejsce stałego zamieszkania | St. Szulakiewicz — Lwów.<br>Kl. Bachleda — Zakopane. |
| Narodowość | polacy. |
| Wiek | 1.<br>2. |
| Zawód | 1. Słuchacz Politechniki<br>2. przewodnik tatrzański I klasy. |
| Od ilu lat chodzi po Tatrach | 1.<br>2. |
| | |
| | |
| Imię, nazwisko i adres osoby wzywającej Straż Ratunkową | Jan Jarzyna za pośrednictwem prof. |

**Przedstawienie wypadku według słów osoby wzywającej Straż Ratunkową:**
(Pisać drobnem pismem)

Dn. 5/VIII 1910 wezwano mię do telefonu. Ze schroniska przy M. Oku telefonował p. Jaworowski, że pewien turysta przyszedł z pod Małego Jaworowego (północnej ściany) z wiadomością, że on z drugim turystą spadli ze ściany. Ten doszedł do schroniska, drugi uwięziony został na ścianie. Proszę o pomoc.




# CZEGO POTRZEBA MOJEJ SZKOLE?

## METODY NA PSOTY?

Pytanie „Czego potrzeba naszej szkole?" jest nie tylko poruszane na łamach naszej gazety, ale także na apelach szkolnych, godzinach wychowawczych i na wielu innych lekcjach, gdzie warunki nauki są poniżej krytyki. Mówiąc tylko o salach możemy wyliczyć wiele szkód wyrządzanych przez uczniów (pozapisywane ławki, poodkręcane śruby od krzeseł, kwiatki powyrywane z doniczek itd., itd.). Taki straszny obraz przedstawia się tylko w salach, których nie zdążono od wakacji generalnie odnowić. Z nich przenieśmy się do sal odnowionych. Ładnie pomalowane ściany, nowe ławki, krzesła, regały zachęcają dó nauki, ale stopniowo i one nabierają niestosownego wyglądu... Te wszystkie psoty muszą być zahamowane! Sposób na to znaleźli nauczyciele z naszej szkoły ogłaszając następujący komunikat: *„Uczeń, który przyniesie kwiatek doniczkowy do szkoły, na klasówce dostanie pół stopnia więcej".* Słabsi uczniowie wykorzystują to znakomicie, a w szkole jest bardziej zielono. Te kwiatki rosną dłużej niż pozostałe, bo wiadomo, że nikt swego nie popsuje. A i inne złe nawyki uczniów muszą być zlikwidowane. Jest przysłowiowy sposób *Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.* Uczniowie przychodzą po lekcjach (nieraz i w wolną sobotę) do szkoły i myją lamperie, stoliki, naprawiają krzesła, ławki itd., Wiadomo, każdy po lekcjach woli pograć w piłkę, posłuchać muzyki, lecz musi iść do szkoły „odrabiać pańszczyznę". Po kilkakrotnych tego typu pracach sale-są jak nowe; w końcu psotnikom znudzi się praca remontowa i bójki, gdyż i inni na nich muszą pracować, co dodaje im sił, by dać takiemu „malarzowi" czy „technikowi" nauczkę.

Przechodzimy przez korytarz, na którym gdzieniegdzie fruwają gazetki ścienne, gdyż szpilka się nieraz przydaje, aby np. przypiąć tarczę do ubrania. Co do stołówki nie mam żadnych wątpliwości higienicznych. Tu musi być należyty ład, bo posiłki nie przechodziłyby przez gardło. Przerwa jeszcze trwa, więc trzeba „skoczyć" do WC. Tam najczęściej jest dość ciasno. Nie wychodząc jeszcze z tego miejsca publicznego można „rzucić okiem" na klozetową „ścienną gazetkę". Wiele jest tam wiadomości ze świata i z życia szkoły. (najczęściej są to wiadomości matrymonialne, jak to w szkole): Obok widać „ludzi dobrego uczynku", którzy w sposób bezlitosny znęcają się nad przyrządami sanitarnymi WC.

Sala gimnastyczna jest utrzymana w należytym porządku, gdyż nikt nie ma czasu na psoty, bo każdy woli kości wyprostować, ot np. grą w piłkę. Na boisku jest nieco inaczej. Jak to twierdzą lekarze — na powietrzu trzeba się „wyszaleć" po męczących lekcjach. Jednak niektórzy rozumieją to inaczej. Szarpią bramkami na wszystkie strony, a przecież nie każdy spaw to wytrzyma. Oprócz „zabaw" z bramką niektórzy znęcają się nad zielonym otoczeniem szkoły udając znakomitych karateków, a co silniejsi czepiają się stalowych prętów w płocie. Po lekcjach udajemy się do szatni, gdzie na jednym wieszaku wiszą ubrania trzech osób, gdyż „ekipa techniczna" znakomicie sobie radzi z tymi urządzeniami; są zniszczone.

Tak dalej być nie może! Jeżeli każdy by przetłumaczył wandalom, co za głupoty czynią, to na pewno w szkole byłoby czyściej, a przede wszystkim przyjemniej.- Uczniowie lepiej by się czuli, gdyż na lekcji byłoby większe skoncentrowanie, bo psoty rozpraszają uwagę.

Dobroć jest na pewno w sercu każdego człowieka, a więc, uczniowie dobrej woli, do dzieła! Trzeba wreszcie zmienić złe nawyki kolegów.

**Jacek**
**Lublin**

## MAM POMYSŁ!

Uczęszczam do szkoły podstawowej nr 5 w Dzierżoniowie. Chciałbym poruszyć sprawę eksploatacji WC w naszej szkole. Sprawa przedstawia się fatalnie! Ciągle brudne deski klozetowe, podłoga oblana jakąś nie znaną mi substancją, pełno wulgarnych napisów. Na odnowienie toalet dyrekcja wydała olbrzymie kwoty. Ale co z tego? Za kilka tygodni młodzież naszej szkoły doprowadziła je do stanu sprzed odnowy. Uważam, że zamiast skomplikowanych spłuczek, sedesów czy pisuarów, powinno się wprowadzić do użytku szkolnego urządzenia spotykane często w toaletach na dworcach. Konkretnie chodzi mi o „okafelkowaną" ścianę, przegrodzoną niskim murkiem, z rowkiem u dołu, którym płynie woda. Wprowadzenie tego rozwiązania umożliwi czystość i bardzo ułatwi pracę sprzątaczkom.

**Robert**

## „CZARNE OWCE" SZKODZĄ NAJBARDZIEJ SOBIE I INNYM

Dla jednych szkoła jest starą, wstrętną budą, ciężarem życiowym. Dla innych jest to nawet drugi dom. Wśród tych'pierwszych znajdują się zazwyczaj uczniowie, którzy mają kłopoty z nauką. Odczuwają lęk przed każdą lekcją, ponieważ mogą być pytani i otrzymać negatywną ocenę. Do drugiej grupy zaliczają się przeważnie uczniowie, którzy uczą się dobrze, dlatego też szkoła uciążliwością dla nich nie jest. A dlaczego tak się dzieje? Po prostu potrafią się uczyć. Wśród uczniów nie lubiących szkoły, dużo jest takich, którzy nie uczą się z czystego lenistwa. Główną drogą do polubienia szkoły jest wszak prawdziwa nauka, a nie liczenie na to, że może się uda - nie zapytają i nie będzie trzeba przerabianego materiału nauczyć się.

Uważam, że większość powinna się zastosować do wymagań nauczycieli, a tym samym ulżyć samym sobie, czyli nauczyć się nowych rzeczy, a nie myśleć o niebezpieczeństwie otrzymania dwójki. Niestety, nauka sama do głowy nie wejdzie.'

Jestem w klasie zastępcą przewodniczącego. Moja funkcja nie wymaga zbyt wiele pracy. Trudno jest jednak zachęcić klasę do jakiejś działalności. Trudności są nawet ze znalezieniem członków do kółek zainteresowań! Dzieje się to m. in. dlatego, że znajdują się tacy, którzy nie mają ochoty na jakąkolwiek działalność (społeczną czy inną) i wyśmiewają tych, którzy takich zadań się podejmują. Nazywa się takich „pracusiami" oraz „lizusami". Jest to zjawisko bardzo negatywnie wpływające na próby zorganizowania czegokolwiek we własnym, uczniowskim zakresie. Dopiero gdy wkracza w to nauczyciel, można coś zorganizować. Uważam, że wyjściem z takiej sytuacji może być wytrwała działalność choćby wąskiej grupki uczniów. Po pewnym czasie mogą oni zapewnić np. zorganizowanie wycieczki całej klasie, a tym samym zjednać sobie inne osdby do wspólnej pracy.

Bardzo denerwującą sprawą jest wandalizm. W szkole, do której chodzę, zostały zakupione nowe stoliki. Wyglądały ładnie, ale do pewnego czasu, ponieważ znaleźli się tacy, którym nowość stolików przeszkadzała. Poodrywali więc na brzegach kawałki forniru (chyba dlatego, że trudno na tych stołach było malować a to przecież w szkołach rzecz zwykła).

Szkoła mogłaby wyglądać ładniej i milej, ale niestety znajdą się tacy, którym to również będzie przeszkadzało. Można by np. pozawieszać w kwietnikach na ścianach kwiatki, ale szkoły z pewnością na to nie byłoby stać, ponieważ po niedługim czasie kwiatki zostałyby bez liści, a nawet całkowicie połamane. Podobne rzeczy dzieją się nawet z tymi roślinami, które znajdują się w klasach, chociaż z uczniami jest tam nauczyciel.

Perswazje prawie nic nie dają. Tyczy się to także czystości, zarówno klas, jak korytarzy. Jeżeli nauczyciel zauważy, że ktoś naśmiecił w klasie, każe mu sprzątać, ale inna sprawa jest z korytarzami.

Niemożliwością również jest to, aby w ubikacjach był papier toaletowy! Jak wiadomo są trudności z jego kupnem, a więc co najmniej musiano by dawać codziennie nową rolkę, ponieważ papier ginie...

Trudności w doprowadzeniu do tego, aby szkoła stała się miejscem, do którego z chęcią szedłby każdy, aby była czysta i miła, powodują uczniowie, którzy są tzw. „czarnymi owcami". Choć nie ma ich bardzo wielu, to kłopotu potrafią narobić dużo. Uważam, że właśnie tacy są w szczególności winni temu, że większość uczniów idzie do szkoły z niechęcią.

**Marek Łukasz A.**
**Zasadnicza Szkoła Zawodowa**

## PRZEŁADOWANY PROGRAM, NUDNE LEKCJE, NAUCZYCIELE POWINNI SIĘ DAĆ LUBIĆ

A więc szkoła. Czym ona jest? Czy~ naprawdę drugim domem? Raczej nie. Można się długo zastanawiać dlaczego i wtedy przyczyn znajdzie się bardzo dużo.

**Po pierwsze:** moim zdaniem za bardzo przeładowany jest program nauczania. No dobrze, ktoś powie, że przecież musimy posiadać pełny zapas wiedzy. Ale czy tak jest naprawdę? Przecież takie dzieci w klasach I–III są tak nauką przeładowane, że trudno to sobie nawet wyobrazić! To samo dzieje się w starszych klasach. Uczniowie mają po 7 i 8 lekcji i często do domu wracają o „północku".

**Po drugie:** przyczyną niechęci do szkoły są także nudne lekcje. Uczniom, którzy siedzą już np. pięć godzin, naprawdę trudno wchodzi do głowy to, co w tej chwili mówi nauczyciel. Ale jeżeli podczas lekcji byłyby podawane różne ciekawostki, to i lekcja lepiej byłaby przyswajana przez ucznia.

**Po trzecie:** stosunek nauczycieli do uczniów. Bywają tacy nauczyciele, którzy są po prostu nienawidzeni przez uczniów. Nasuwa się pytanie — dlaczego? Postaram się odpowiedzieć. Nauczyciele źle podchodzą do ucznia, nie zachęcają go do nauki, za byle co stawiają dwóję itd. Oczywiście nauczycieli takich nie ma zbyt wielu.

Chciałbym na koniec dodać, że nasza szkoła nr 3 w Pruszu jest na ogół zadbana, posiada salę gimnastyczną i boisko szkolne. A jednak to za mało, aby uczniów nakłonić, by ta szkoła im się podobała. Myślę, że ludzie pracujący w oświacie zrobią wszystko, aby zmienić taki stan rzeczy. Dodam jeszcze, że mimo tak przeładowanego programu, nie chciałbym aby były zniesione wolne soboty...

**P.**
**Prusz**




### Drugoroczni

Chodzimy do VII klasy. W tym roku do naszej klasy przybyło trzech uczniów, którzy powtarzają rok. Zachowują się koszmarnie - piją, palą, używają wulgarnych słów, są nieposłuszni wobec nauczycieli, uciekają z lekcji i zaczepiają młodszych od siebie. Nasza wychowawczyni nie wie jak z nimi postępować. Prosiła nas, abyśmy na nich wpłynęli, ale nikomu z naszej klasy nie udało się przemówić im do rozsądku. Co mamy zrobić, żeby się zmienili. Może „RP" doradzi nam jak postępować z takimi kolegami?

**Klasa VII c ze Słubic**

**OD REDAKCJI: Nowi koledzy, którzy trafili do Waszej klasy uznają pewnie naukę za zło konieczne. Nie zdali, więc czują się pokrzywdzeni i biorą teraz odwet na Was i nauczycielach. Nie powiodło im się w nauce, więc koniecznie chcą się wykazać w czym innym - w lekceważeniu nauczycieli, zaczepianiu młodszych czy paleniu papierosów. Dlatego tak trudno się z nimi porozumieć. Każdą próbę rozmowy czy przyjazny gest traktują jak podstęp i na wszelki wypadek odrzucają. Nie starajcie się więc na siłę ich zmieniać, wytykać złego zaehowania, bo to wywoła odwrotny skutek od zamierzonego. Przede wszystkim nie traktujcie ich jak gorszych od siebie. Postarajcie się wciągnąć ich w sprawy klasy, powierzcie im jakieś zadanie do wykonania, np. przy okazji organizowania zawodów sportowych, wycieczki lub choćby zmiany gazetki klasowej. Niech poczują, że im ufacie, że liczą się tak samo jak każdy uczeń w klasie. I nie liczcie od razu na sukces. W takim działaniu trzeba dużo cierpliwości i dobrej woli, którą właśnie Wy przede wszystkim musicie się wykazać, (es)**

### Tylko moja dziewczyna mnie rozumie

Chodzę do VII klasy w Głogowie. Moja klasa dokucza mi, ponieważ jestem gruby. Biją mnie, śmieją się i przezywają. Tylko moja dziewczyna, Sylwia, podtrzymuje mnie na duchu. Co trzy dni chodzimy razem biegać na stadion, by zrzucić nadwagę. Proszę o wydrukowanie mego listu, może moi koledzy z klasy przeczytają go i zmienią postępowanie. Proszę o listy od czytelników. Grzegorz Kowalewski, aleja Wolności 35/5,67-200 Głogów.

### Czy to grzech mieć rodziców nauczycieli?

Chodzę do VII klasy. Jestem córką nauczycieli i właśnie z tego powodu koleżanki i koledzy źle mnie traktują. Gdy dostanę piątkę mówią, że to dzięki rodzicom pracującym w szkole. Pewnego dnia pani pytała z przerobionego materiału mnie i moją, gorszą w nauce, koleżankę. Ja odpowiadziałam bardzo dobrze, ale wszyscy mówili, żeby postawić mi czwórkę. Natomiast mojej koleżance podpowiadali, co i tak niewiele jej pomogło. Powiedziała tylko parę słów na zadane pytanie. Mimo to cała klasa krzyczała, by postawić jej piątkę. Dlaczego? Czy ja jestem gorsza?

Rozumie mnie tytko Krysia. Może dlatego, że też jest córką nauczycieli. Proszę wydrukujcie mój list Jeżeli przeczyta go ktoś z mojej klasy i zmieni o mnie zdanie, to będę bardzo rada. Z przyjemnością odpiszę każdemu czytelnikowi „Świata Młodych", który do mnie napisze.

**Ewa**
(adres znany redakcji)

# Miasto dwóch bohaterów



*Podczas ostatnich obchodów Dnia Podchorążego harcerze ze Szczepu im. Ludowego Wojska Polskiego przy Szkole Podstawowej nr 2 w Warce złożyli przyrzeczenie*



*Honorową wartą przy tablicy upamiętniającej miejsce gdzie stał dom pułkownika Piotra Wysockiego - pełnią podchorążowie pierwszego roku szkoły Głównej Służbv Pożarniczej*

Warka - miasto leżące nad Pilicą, na trasie Warszawa-Radom-Kraków, jest miastem rodzinnym dwóch wybitnych postaci historycznych. Tu urodzili się Kazimierz Pułaski i Piotr Wysocki. Pierwszy z nich - uczestniczył w konfederacji barskiej, a później wsławił się w walce o wolność Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

Piotr Wysocki natomiast, 29 listopada 1830 roku rozpoczął powstanie atakiem na Belweder. Zesłany na Syberię, po odbyciu kary wrócił do Warki i tu umarł 6 stycznia 1874/oku.

Przed kilkunastu laty Szkoła Główna Służby Pożarniczej po raz pierwszy zorganizowała w Warce uroczystość poświęconą pamięci pułkownika Wysockiego. Od tamtej pory każdego roku w Dniu Podchorążego Warka zapełnia się strażackimi mundurami. Odbywają się tu uroczyste apele, capstrzyki, przemarsze - pod tablicą, ustawioną w miejscu gdzie niegdyś stał dom Piotra Wysockiego, i na cmentarz, gdzie spoczywa bohater listopadowego powstania. Od kilku lat na te uroczystości przybywają delegacje wszystkich wyższych uczelni wojskowych w kraju. Od lat uczestniczą w nich także harcerze z wareckich szkół, **(wm)**

## Spotkania

# Konkurs

Tym razem Tomek zatelefonował. Sprawa była krótka. W szkole z okazji rocznicy wyzwolenia Warszawy zorganizowano konkurs. W jego klasie chętnych do udziału nie było, więc został - jeśli można to tak nazwać - uczestnikiem konkursu z urzędu czyli z woli profesora. No i wpadnie wieczorem po jakieś książki, bo - z ochoty czy z urzędu - nie chce się jednak kompromitować. Odłożyłem słuchawkę i podszedłem do biblioteki. Po chwili obok telewizora leżała niezła kupka varsavinnów. Może przyjść. Może się przygotować. Może wygrać. Może...

Kilka grudniowych dni spędziłem nad morzem. Pora roku nie ta najbardziej odpowiednia, ale po sopockim molo można było pospacerować, plaża poniżej latarni morskiej w Rozewiu też miała swój nastrój i tylko na Helu w Jastarni do brzegu podpływały zamiast wczasowiczów... łabędzie. Ale ich towarzystwo było zupełnie sympatyczne. To na którejś z tych plaż wiele lat temu uczestniczyłem w jednym ze swych pierwszych konkursów. Budowałem, jak inni rówieśnicy, wspaniałe zamki z piasku, z mnóstwem wież i przerzucanych nad fosą mostów, zamki oceniane później przez dorosłych. Dla każdego z nas własna budowla była oczywiście najwspanialsza, jurorzy patrzyli na to inaczej. Jak w każdym konkursie. Jak w życiu...

Podczas tych ostatnich grudniowych dni również uczestniczyłem w konkursie, choć tym razem już tylko jako obserwator. Co to był za konkurs? Nieważne. Prezentowali w nim swoje umiejętności także Wasi rówieśnicy, a mnie interesowało nie tylko to, co działo się na konkursowej scenie, ale również za konkursowymi kulisami.

Do hotelu zjeżdżają się poszczególne ekipy. Obserwują się z ukosa - przecież każdy to wróg, którego trzeba pokonać Zakwaterowanie w eleoanckim hotelu, wyżywienie w eleganckiej restauracji. Nie każdego stać na takie wydatki. Jedni schodzą więc tam na każdy posiłek, innych widać tylko od czasu do czasu. Jedni trzymają się razem - nie tytko z kolegami ale i z opiekunami, inni wolą samotność. Stosunki wewnętrz ekip różne - chłodne i oficjalne, serdeczne i rodzinne. Konkurs się jeszcze nie zaczął, a przecież już trwa.

Losowanie kolejności prezentacji i pierwsze spotkania wszystkich uczestników i jurorów. Przed pierwszymi jeszcze to wszystko, co już poza drugimi. Oni też przecież kiedyś startowali, zbierali oklaski, przyjmowali kwiaty, ich nazwiska były ozdobą niejednego spektaklu. Czy pamiętają, co pomogło im złapać kiedyś pierwszy oddech, co uskrzydliło do pierwszego sukcesu? Czy potrafią teraz pomóc, uskrzydlić innych? To ich pierwsze spotkanie z następcami, z kandydatami na następców. Drugie będzie przy wręczaniu nagród. Tu i tam urzędowy uśmiech. Przez wiele długich dni zabrakło czasu i ochoty na zwykłą rozmowę, która nie mieściłaby się w suchym werdykcie, która byłaby cenna i dla tych najlepszych i dla tych, którym się tym razem nie powiodło.

Tym ostatnim trudno uwierzyć w sprawiedliwość. Mają po kilkanaście lat, ale już wierzą raczej w układy i powiązania. W jury zasiada przecież ten, który przygotowywał ich konkurentkę i ta, która nie lubi ich szkoły i ten, o którym ich własny pedagog wypowiada się nie najlepiej. Nieważne nawet, ile w tym prawdy. Ważne, że takie są odczucia, że coś je ukształtowało, że wyjedzie się z konkursu nie tyle z poczuciem przegranej z lepszymi, ile z poczuciem tego, że zostało się oszukanym. Tak pomyśli się o konkursie. Tak pomyśli się o życiu...

I przyjdzie do głowy myśl o rewanżu. W czasie popisu laureatów słychać było wyraźnie, które rejony widowni kogo oklaskiwały. Tak działo się zresztą również w czasie eliminacji. A prowadzący je - tak się jakoś dziwnie złożyło - zwrócił uwagę publiczności dopiero po występie miejscowych uczestników konkursu. Muszę przyznać, że ciarki przeszły mi po grzbiecie, gdy w czasie jednego z popisów laureatów rozległ się na widowni gwizd. Jak będzie go pamiętał ten startujący do zawodowego życia laureat? Ile goryczy i poczucia krzywdy musiało się zebrać w tym, który na ten gwizd się zdecydował. Był to przecież raczej gwizd przeciw konkursowi. Przeciw życiu...

A przecież słowo konkurs ma takie piękne znaczenie. Coocurrere to po łacinie - biec razem, nie - biec przeciwko sobie!

Od kilkunastu dni trwa nowy konkurs, w którym - jak Tomek w swym szkolnym - bierze chcąc nie chcąc udział każdy z nas. W szkole wśród koleżanek i kolegów, w domu wśród rodzeństwa, na ulicy wśród przechodniów, w kolejce wśród kupujących. Konkurujemy przecież ze wszystkimi i o wszystko. Poddajemy się różnym ocenom, nie zawsze wierzymy w sprawiedliwość, szukamy wygodnych układów, w różny sposób wygwizdujemy potencjalnych konkurentów. Chcemy często za wszelką cenę by nasz zamek z piasku oceniony był jak najwyżej, nawet jeśli nam samym się nie podoba. Ze złością niszczymy budowlę, która okazała się wspanialsza od naszej. Nie potrafimy biec razem...

Nie znam Gdańska i w czasie mojego w nim pobytu skorzystałem z opieki dwóch gdańskich licealistów, którzy oprowadzili mnie po swoim mieście. Nie uczestniczyli w żadnym konkursie, a prześcigali się w informacjach i anegdotach, którymi mogli zaimponować zawodowemu przewodnikowi. Czułem, że pokazują mi coś, co jest im drogie, a nie coś, o czym kazano im się kiedyś nauczyć. Byłem pełen podziwu i trochę zazdrości, bo nie znam tak swego miasta. Może dlatego, że nikt nigdy nie wyznaczył mnie z urzędu do udziału w konkursie o Warszawie? Muszę o tym powiedzieć Tomkowi. Chyba właśnie dzwoni do drzwi.

Jarek

Przygoda podzielona na etapy

# Dziewczyna w kimonie

Już dwa dni po zabiegu Jola skakała na jednej nodze, narażając się co chwila dyżurnym pielęgniarkom i lekarzom. Miała w sobie zbyt wiele energii i życia, by wzorem innych pacjentów stołecznej kliniki ortopedycznej wypoczywać nieruchomo w pościeli. Za te swoje harce zapłaciła bolesną punkcją kolana, ale nadal jej szpitalne łóżko było z reguły puste. Jolka brykała po korytarzu, podpierając się pożyczonymi od kogoś kulami.

Łękotka to narząd ważny, a dość kruchy, toteż wielu sportowców ma z nią kłopoty. Z tego typu kontuzją borykał się przez ponad dwa lata Włodzimierz Lubański, a potem także Władysław Żmuda. Niedawno podobnemu zabiegowi poddał się Włodzimierz Smolarek. Jola Piotrowska uprawia dżudo, gdzie problemy z łękotką także nie należą do rzadkości. Latem na obozie kadry w Zakopanem podczas jednego z treningów poczuła dotkliwy ból w kolanie. Nogę „zapakowano" na trzy tygodnie w gips, ale ta zachowawcza terapia nie przyniosła oczekiwanych efektów. Stało się jasne, że bez operacji obyć się nie może i tak 17-letnia dziewczyna znalazła się w szpitalu.

### „GRUBA", „KIKA" I INNE

Mówi, że chciałaby jeszcze przez kilka lat uprawiać to swoje dżudo, któremu trochę z przypadku, a trochę z własnej woli poświęciła już sporo czasu. Gdyby miała wybierać, to zostałaby najchętniej gimnastyczką artystyczną, tak jak Teresa Folga. Dżudo stawia na drugim miejscu.

Była w czwartej klasie i nie miała pojęcia, co to „ippon"czy„yuko", gdy do Bobolic (37 km od Koszalina) zawitał Waldemar Wiśniewski - instruktor dżudo, który w tamtejszej zbiorczej szkole gminnej, wprowadził modę na ćwiczenia w kimonach. Początkowo trenowali tylko chłopcy, potem w ich ślady poszły dziewczęta. Jola była sprawna i silna, co potwierdzić mogą jej nauczyciele — Bronisława Golis i Włodzimierz Kuliński, którzy jednak wyżej niż dżudo stawiali piłkę ręczną. Uczniowie z Bobolic specjalizowali się w niej - nie bez sukcesów-od lat. Jola o karierze szczypiornistki marzyć raczej nie mogła, bo była za mała. Zdradzała natomiast predyspozycje do dżudo. Początkowo miała obiekcje, bowiem dyscyplina ta kojarzyła jej się raczej z męskim sportem, ale gdy jej przyjaciółka, Ernestyna Matusiak, zwana „Kiką", zaczęła ćwiczyć - pozbyła się oporów. Sport pociągał ją od dawna i to nie tylko dlatego, że zawsze była bardzo żywa, ruchliwa i energiczna. Chciała też pozbyć się nadwagi, która sprawiła, że obdarzono ją przydomkiem „Gruba". I tak trafiła do sali treningowej.

Dziewczyny ćwiczyły i walczyły wspólnie z kolegami, bowiem rywalek brakowało. Dotąd nikt w Koszalińskiem nie słyszał o tym, żeby panny uprawiały dżudo, a pierwszym szkoleniowcem, który odważył się sfeminizować tę sztukę samoobrony, był właśnie Waldemar Wiśniewski. Tak więc „Gruba", „Kika" i ich koleżanki z Bobolic stały się prekursorkami koBiecego dżudo w swoim województwie, a niejeden chłopak musiał uznać wyższość walecznych dziewcząt. Z tej rywalizacji wynikały często zabawne sytuacje. Np. podczas Koszalińskiej Olimpiady Młodzieży znakomicie spisywał się krótko ostrzyżony szatynek o dziewczęcej buzi. Pokonał wszystkich w swej wadze i dopiero przed dekoracją okazało się, że to nie chłopak a... dziewczyna—„Kika" z Bobolic.

W ósmej klasie przygoda Jolki z dżudo o mało nie zakończyła się definitywnie. Mama była przeciwna uprawianiu przez córkę tego sportu, a dwaj starsi bracia, Marek i Rysiek, też nie byli zachwyceni, że „Gruba" nie czuje przed nimi respektu. W efekcie Jola przestała trenować, skończyła podstawówkę i rozpoczęła naukę w Zasadniczej Szkole Gastronomicznej w Koszalinie. Była w pierwszej klasie, gdy przypadkiem wybrała się kiedyś z koleżankami do sali, by popatrzeć na trening. Siedziała sobie z boczku i nie bez zazdrości obserwowała wyczyny dziewcząt na macie. Podszedł trener i zapytał, czy nie chce spróbować. Chciała. Przygoda *z* dżudo zaczęła się od nowa.

### SUKCESY I ROZCZAROWANIA

Czasu miała teraz niewiele. Pobudka o szóstej rano, a pół godziny później autobus do Koszalina. Do domu wracała po 16.00. Potem lekcje, a wieczorem trening, kilka godzin snu i znów przeklęty dzwonek budzika. Jolka wytrzymywała jednak ten reżim i czyniła szybkie postępy. Wkrótce nie miała sobie równych w województwie, w wadze do 56 kg. Jej pierwsze poważne zawody zakończyły się jednak fiaskiem. Na mistrzostwach Polski seniorek w Słupsku młodziutka reprezentantka klubu „Mechanik" Bobolice, zakończyła karierę już w eliminacjach. ustępując starszym rywalkom pod względem siły i wyszkolenia. Wkrótce wzięła rewanż. Na ogólnopolskim turnieju w Kielcach wystartowała w wadze 52 kg i była trzecia za starszymi od siebie Ewą Kowal i „Kika". Te dwa medale wywołały w Bobolicach sporo szumu, a koszalińskie gazety oceniły wyczyn obu dziewcząt „Mechanika" jako znaczący sukces.

Kolejną ważną próbą były finały Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży w 1983 w Łodzi, gdzie Jolka wywalczyła srebrny medal, przegrywając dopiero w finale ze swą imienniczką. Jolantą Karaś z Olecka. „Kika" wypadła jeszcze lepiej, sięgając w swej kategorii po złoto. W Bobolicach witano obie dziewczyny bardzo ciepło i serdecznie, wszak sukces był niewątpliwy. Jeszcze z większym zapałem biegała teraz „Gruba" na zajęcia. Unikała słodyczy, zastosowała antykaloryczną dietę, bowiem wiedziała, że większe szanse ma w niższej wadze niż 56 kg. gdzie konkurentki przewyższały ją na ogół wzrostem i siłą fizyczną. Przed tegoroczną spartakiadą w Poznaniu Jola ważyła tylko 48 kg i była zdecydowaną faworytką, W pierwszych walkach nie miała kłopotów, ale w tej najważniejszej - przegrała. Zmierzyła się z obrończynią złotego medalu z Łodzi i nie dała rady. „Spaliła" się nerwowo; rola faworytki nie jest łatwa. Pozostał jej tylko pojedynek o brąz, w którym - już rozluźniona - odniosła błyskawiczne zwycięstwo. Stanęła na podium, ale marzył jej się medal z cenniejszego kruszcu. Wracała z Poznania w nie najlepszym humorze. Tym bardziej, że była to jej ostatnia spartakiada, bowiem skończyła już lat 17 i awansowała do grupy seniorek. Tu konkurencja jest silniejsza, a o sukcesy trudniej. Mimo to z optymizmem i pełna werwy jechała Jola na obóz kadry w Zakopanem. Tam miała wspólnie trenować z najlepszymi w Polsce. Pięć dni przed zakończeniem zgrupowania doznała kontuzji, a dalszą historię Joli Piotrowskiej - znamy.

Opuściła szpital niedawno, w dobrym nastroju, pewna, że to pechowe kolano nie będzie już jej dokuczało, że wkrótce rozpocznie trzeci etap przygody z dżudo. Jak się on potoczy? Czy „Gruba" pójdzie w ślady Joanny Majdan, Jolanty Adamczyk, Anny Chodakowskiej'i innych naszych czołowych dżudoczek, o których coraz głośniej w świecie? Jola wie, że ma szanse i zapewnia, że łatwo nie zrezygnuje. I marzy jej się nowy, twarzowy dres. Ten stary jest już bardzo zniszczony, a przecież każda dziewczyna chce ładnie wyglądać! Także na zawodach...



TOMASZ TRZCIŃSKI
Fot. K. Adamowski



## Z czterech stron świata

### Wszędobylska moneta

(„Poznaj Świat"). Błyszcząca, kształtna, lekko zabarwiona muszelka znana jako kauri, zrobiła zawrotną karierę zarówno w roli pieniądza, jak też w charakterze ozdoby. Początków tej kariery należy szukać w Chinach i Japonii przed 3 tys. lat. Z czasem kauri rozpowszechniła się w całej południowej Azji, na wyspach Pacyfiku, na wybrzeżach Afryki, później również w głębi tego kontynentu. Nie ominęła też Europy, a na ziemiach polskich stała się tradycyjną ozdobą góralskich kapeluszy. Jednakże najczęściej używa się jej jako ozdoby w Afryce. Oto na zdjęciu tancerz fulbejski z półpustynnego zachodniego Nigru: obok pawiego pióra i metalowych ozdób obowiązkowe są monetki, owe zadziwiająco trwale muszle pospolitego ślimaka *Cypraea moneta* z ciepłych mórz.

Fot. **archiwum**

### Wesoły programista

(PAI). Poczucie humoru jest jednym z mechanizmów obronnych organizmu przed zbyt silnym napięciem nerwowym i stresami. Amerykańscy psycholodzy są zdania, iż specjaliści pracujący przy komputerach dzielą się na dwie grupy. Jedni, a jest ich większość, po popełnieniu błędu nie czynią z tego tragedii, lecz przeciwnie, starają się obrócić wszystko w żart. Inni zaś odczuwają dosłownie strach przed maszyną, która w ciągu sekundy wykrywa ich pomyłkę. Dlatego też, mając na uwadze zdrowie, psycholodzy nie polecają zawodu programisty ludziom pozbawionym poczucia humoru.

# BEZ NAKAZÓW

Po szkole biega Mops. Spokojne, duże, utyłe wilczysko w wieku co najmniej dojrzałym. Jeśli ma ochotę, wchodzi sobie na lekcję do któregoś z klas, uczestniczy w interesującym go apelu, wpada do gabinetu dyrektora na małą drzemkę w przyjaznej atmosferze. Nie przeszkadza mu nawet jeśli zastanie tam jakiegoś ważnego pana wizytatora. Wizytatorzy zaś też już do Mopsa przywykli, uważając go za „żywą pomoc" w szkole czyli mieszczącej się na parterze budynku Studium Nauczycielskiego im. Władysława Jagiełły w Mrągowie szkole podstawowej. Mops to tradycja Studium.

Tradycją są też absolutnie tajne wybory do samorządu szkolnego - każda klasa po kolei schodzi do sali wyborczej i wrzuca swoje głosy do urn, ot zupełnie tak samo, jak podczas wyborów do rad narodowych. I wybory opiekuna samorządu w tzw. Plebiscycie Życzliwości i kolorowe piątki: w te dni bowiem dziewczyny przychodzą do szkoły bez noszonych na co dzień fartuszków z tarczami (projekt tarcz wyszedł zresztą od nich samych), jak której wygodnie, ale podobno nawet w te piątki obywają się jakoś bez ciuchowego szpanu.

Tradycją są również dwa radośnie zwariowane czerwcowe dni, zwane świętem szkoły, a obchodzone pod egidą samorządu od 1972 roku. Przypadające na te dni egzaminy wstępne mogą się odbywać w zupełnym spokoju, bo wszyscy uczniowie opuszczają szkolny gmach. Za to ulicami Mrągowa przeciąga barwny korowód mniej lub bardziej cudacznych i oryginalnych postaci. Ich atrakcyjność zależy od inwencji i pomysłowości poszczególnych klas. Całe bractwo spotyka się wreszcie na placu koło Domu Kultury, aby wyruszyć stamtąd na rajd wiodący dookoła jeziora, do najwyższego punktu Mrągowa - Góry Czterech Wiatrów. Każda klasa zdaje tam „egzamin", za który otrzymuje punkty, a kiedy doda się do nich punkty za stroje, za zdyscyplinowanie i rozśpiewanie, od razu wiadomo, kto został zwycięzcą rajdu. Liczy się też w tej punktacji i ilość zebranego na Górze Czterech Wiatrów szczawiu, którego rośnie tam ponoć mnóstwo. (Szczaw wędruje do kuchni i panie kucharki gotują zeń pyszną zupę, to zaś, co zostanie, konserwują w słojach.) Po powrocie promem przez jezioro, wspólnym obiedzie i seansie filmowym (oczywiście w strojach z żakinady), wszyscy - w tym i zaproszeni przedstawiciele samorządów innych mrągowskich szkół średnich — zbierają się na ognisku przed szkołą, aby wspólnie podziwiać program artystyczny, słuchać uczestników konkursu na własną piosenkę i pałaszować bułeczki z kiełbaskami. I dopiero po ognisku dzień pierwszy można uznać za zakończony. A w dniu drugim króluje sport: każdy musi wziąć udział w co najmniej jednej z rozgrywanych na mrągowskim stadionie konkurencji.

Relacja z przebiegu tego święta nie byłaby pełna, gdyby nie wspomnieć o odbywającym się w jego wigilię prologu kulturalnym. W ubiegłym roku na przykład był to wernisaż uczniowskich obrazów, malowanych różnymi technikami, z konkursem na ten najwspanialszy zdaniem jury i z nagrodą publiczności. Zaproszeni goście, jak na wernisaż przystało; podejmowani byli „lampką" smakowitej, zimnej maślanki, pitej elegancko przez słomki wprost z firmowych butelek. Wieczorem zaś wszystkie talenty, tym razem aktorskie, miały okazję popisać się podczas konkursu recytatorskiego.

- Nie zrezygnujemy z tego święta i w tym roku szkolnym - zapewnia Danka Kuprewrcz z IIIB, przewodnicząca samorządu szkolnego. - Bo je lubimy.

Robić to, co się lubi, a więc lubić to, co się robi - oto jedna z zasad, którymi kierują się dziewczyny ze Studium.

Siedzimy sobie w gabinecie dyrektorskim: pan dyrektor Tadeusz Sokołowski, Danka, Krysia Zadorożna — „rzecznik prasowy", Bożena Szaflar - szczepowa, Dorota Rogowska - przewodnicząca sekcji kulturalnej. Teresa Kisiel - ubiegłoroczny sekretarz, Dorota Krysiuk - sekretarz obecny, no i ja. Gadamy.

**O tym, czego najbardziej nie lubią**

- Bezczynności! Bierność nie dostarcza wspomnień!
- Obojętności!
- Monotonii!
- Nakazów. Nie lubię być zmuszana do niczego, lubię robić to, na co mam ochotę i co uważam za słuszne.

**O wyciąganiu innych z obojętności**

- Nikt nam nic nie nakazuje, więc i my staramy się nie nakazywać innym. Ale ponieważ nie chciałyśmy, żeby obowiązek organizowania życia w szkole spadał jedynie na sekcje samorządu, uznałyśmy, że nie może być u nas klasy, która by nic nie robiła. I że najsensowniej będzie, jeśli każda wysunie jakąś najbardziej dla niej atrakcyjną propozycję, aby potem mieć przyjemność w jej realizowaniu. Zamiast pracy „na siłę". I to był nasz przymus jedyny.

- I co z tego wynikło? - to ja.

- A chociażby Mistrzostwa Szkoły o Puchar Dyrektora. Niełatwy do zdobycia, bo trzeba o niego walczyć przez cały szkolny rok: liczą się w tej walce wyniki semestralne, olimpiady wewnątrzszkolne, osiągnięcia sportowe uzyskane podczas rozgrywek w piłkę statkową i ręczną, i tak zwanego skróconego pięcioboju.

- No, no, pierwszy raz słyszę o tym, że mam fundo-

DOKOŃCZENIE NA STR. 5

## POLSKIE RODOWODY

# I PORANEK, I

Ulica Topolowa administracyjnie należy do Krasnegostawu, byłego miasta powiatowego, ale naprawdę jest wiejską drogą. Stoją tu zabudowania rolników, ciągną się uprawne pola. Nie opodal płynie rzeka Wieprz. Dom Gleniów - to ten na wzgórku, ale nie wiem jak do niego dojść.

- A prosto, na skróty - radzi jakiś starszy człowiek i macha ręką. Ruszam więc polem. Zaniepokojone psy Gleniów wzniecają alarm.

- Cygan! Ciapek!-przywołuje je do siebie gospodarz, akurat zajęty południowym obrządkiem. - Żona w domu – słyszę. W czyściutkiej i przytulnej kuchni z dużym okrągłym stołem i oknem opatrzonym starannie na zimę krząta się pani Maria Gleń. Od płyty z fajerkami bije ciepło, na stolnicy leżą równo ułożone rzędy pierogów. Zaraz będzie obiad.

- Mężowi dziś się pierogów z kaszą gryczaną zachciało — mówi i wrzuca pierogi do wrzącej wody. Po chwili są już na stole.

- Odmawiać nie wypada - uprzedza stawiając przede mną talerz z gorącymi skwarkami. Dostaję widelec, sami jedzą tradycyjnie, tak jak jada się pierogi lubelskie, palcami, maczając każdy kęs w gorącym tłuszczu. Dobre! Mąkę mają własną, ale gryka się tu nie udaje, rośnie zbyt wysoka, wylęga, kaszę kupują.





*Szesnastoletnia Marysia ukradkiem pisywała wiersze*

Na czterohektarowym gospodarstwie Maria i Michał Gleniowie zostali sami. Dzieci już wyfrunęły z gniazda. Jeden syn wybrał wojsko, córka po technikum pracuje i mieszka w Lublinie, najmłodszy, zdolny bardzo chłopak, studiuje i też wygląda na to, że nie wróci na rolę. Choć kto to wie? Ziemia czasem ściąga. Pracy tu niemało nawet zimą. Krowa, świnie, owieczki - wszystko wymaga opieki. Nakarmić, napoić, wydoić, podrzucić ściółki. Owce właśnie się kocą, sporo małych w zagrodzie, nie wolno przegapić, kiedy potrzebna pomoc Merynosy są od paru lat podstawą dochodów gospodarki. Każda owca daje parę kilogramów wełny.

Obora i stodoła są nowe. Zwłaszcza stodoła prezentuje się okazale! Postawiono ją wedle projektu pani Marii i można rzec że jakaś fantazja z niej przebija. Dom mieszkalny jeszcze niedawno miał słomianą strzechę, była wysoka i pani Marii żal starego dachu. Dom zbudowany w 1919 roku wymagał jednak gruntownego remontu. Położono nowe tynki, dach z eternitu; dom postoi jeszcze wiele lat.

*Maria Gleń*
*WIEŚ*
*Nad moją głową niebo wiosenne*
*A wiatr przegania leciutkie chmurki*
*Dom mój pokryty zwykły wiejską strzechą*
*Gdzie z wiosną lepią gniazda jaskółki*

Kuchenna płyta wraz z kaflowym piecem zapewniającym ogrzewanie jest całkowicie nowa. Zdun bardzo marudził, że gospodyni stawia takie wymagania, aby: grzał, miał piec do pieczenia ciasta i duchówkę, i jeszcze okap! Na jego brzegu pani Maria zawsze kładzie listy, których sporo otrzymuje. Za swojej młodości paliła drewnem i torfem. Teraz torfu nikt tu nie kopie, pali się węglem.

Od czasu jak w domach stanęły telewizory, życie prowadzi się mniej towarzyskie. Każdy siedzi u siebie w domu.

- To chyba nawet nie wina telewizji - mówi pan Gleń - Kobiety się zbuntowały. Nie lubią jak się w mieszkaniu nabłoci, nadymi. A przecież ludzie są różni, nawet popiół z papierosa potrafią ukradkiem na podłogę strzepnąć, a jak nadymią!

Ale w domu Gleniów gości nie brakuje. Pani Maria jest znaną poetką ludową, nawet film o niej kręcili. Wszystkim się podoba, że prosta rolniczka, a potrafi myśli swoje zamknąć w pięknych słowach. Wiersze jej do głowy przychodzą gdy stoi przy kuchni w fartuchu, albo w polu wyrywa chwasty, patrzy na niebo, czy płynącą w rzece wodę.

*Maria Gleń*
*GDYBY*
*Gdyby tak zatrzymać*
*życie na chwilę,*
*kiedy się świtem budzi*
*I wtedy patrzeć.*
*Słońce całuje*
*nurty rzeki*
*i krople rosy*
*z okien*
*wypędza mroki*
*ptakom*
*do śpiewu.*
*Widzieć to wszystko,*
*czuć radość życia*
*Łamiąc chleb,*
*ręką*
*matki podany.*





Dwukrotnie przyjmowała w swoim domu przedstawicieli Polonii, były to kilkudziesięcioosobowe grupy. Napiekła pierożków, też z kaszą gryczaną, parę blaszek sernika, o śmietanę się postarała i mleko, a nawet wina własnej roboty każdy mógł spróbować. Na podwórku przygrywała gościom kapela, którą kiedyś właśnie ona założyła. Wszyscy dostali na pamiątkę wycinanki jej roboty. Tylko że nie bardzo potrafili się zachować.. Córka, która jej pomagała w przyjmowaniu gości słyszała, jak jeden z przyjezdnych dopytywał: „czy ta baba jeszcze coś będzie dawać?" Przykro się jej zrobiło, prawdę mówiąc. U nas to się jakiś kwiatek gospodyni przynosi.



**Wiceprezes Stowarzyszenia Twórców Ludowych, Maria Gleń przy swoich domowych obowiązkach. Mąż czeka na obiad**

Fot. **Stanisław Wdowiński**



- **OBYWAJĄ SIĘ DOSKONALE BEZ ZIEMI**
- **NIEKTÓRE NIE POTRZEBUJĄ NAWET KORZENI**

## W POSZUKIWANIU SŁ

# ROŚLINY NAPOWIET



Czy zwróciliście uwagę na mchy i porosty występujące na pniach i gałęziach naszych drzew? Należą one do interesującej grupy roślin, zwanej epifitami lub poroślami. Bogactwo epifitów charakteryzuje obszary położone w strefie międzyzwrotnikowej, o ciepłym i wilgotnym klimacie. Drzewa leśne przypominają tam swoiste ogródki, są bowiem porośnięte nie tylko przez mchy i porosty, ale także przez widłaki, paprocie, kwitnące byliny, a nawet., krzewy i drzewka.

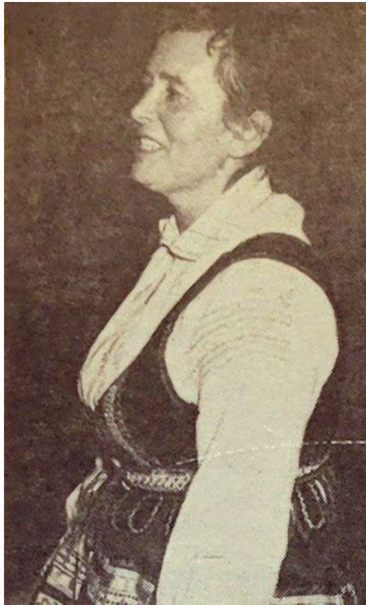
Epifity powstały z roślin naziemnych, dla których zmiana „trybu życia" wiązała się z poprawą warunków świetlnych. Sadowiąc się wysoko na pniach lub w koronach drzew rzeczywiście zyskały one więcej światła niż na dnie lasu, ale równocześnie straciły kontakt z glebą, z której dotąd czerpały wodę z solami mineralnymi. W ciągu tysiącleci epifity przystosowały się jednak do szybkiego pobierania i gromadzenia wody pochodzącej z deszczu lub pary zawartej w powietrzu.

Rola korzeni, które służą roślinom naziemnym do pobierania wody, polega u epifitów przede wszystkim na przytwierdzaniu ich do kory drzew lub warstwy próchnicy gromadzącej się między gałęziami. Niekiedy korzenie mają wyłącznie charakter organów czepnych, a bywa, że brak ich zupełnie. Pozbawiona korzeni **opłątwa** (fot. 1), bardzo podobna do krzaczkowatych porostów, wykształca specjalne włoski na górnej' powierzchni liści, które doskonale chłoną krople deszczu. Podobną rolę spełniają łuski na liściach innych ananasowatych. U wielu gatunków epifitów przekształcone odpowiednio liście tworzą zbiorniki gromadzące wodę, w kształcie lejków, kielichów, dzbanków,worków lub cystern. Woda pobierana jest z nich albo za pomocą włosków pokrywających nasadę liści, albo za pomocą korzenia przybyszowego, wrastającego do zbiornika. Jeszcze inne epifity gromadzą wodę w bulwach pędowych lub w mięsistych liściach (fot 2). Szczególnym urządzeniem są jednak powietrzne korzenie epifitycznych storczyków. Są one wyposażone w specjalną tkankę (tzw. welamen), zbudowaną z martwych komórek chłonących wodę, która jest następnie odbierana przez komórki żywe.

Niemniej interesujące są przystosowania fizjologiczne, dzięki którym pewne epifity skutecznie chronią wodę zgromadzoną w tkankach. W ciągu dnia zamykają one szparki, uniemożliwiając w ten sposób parowanie wody, natomiast dwutlenek węgla - w przeciwieństwie do roślin naziemnych pobierają wyłącznie w nocy i wiążą go w postaci kwasu organicznego. Ponadto, dzięki wysokiemu ciśnieniu osmotycznemu zdolne są do pochłaniania pary wodnej nawet przy niewielkiej wilgotności powietrza.

Wiele epifitów może przetrwać okresy suszy, na przykład kaktusy lub storczyki, które kurczą się wówczas całkowicie. Inne — nie tolerują braku wody. Nie znosząc wysychania paprocie wytwarzają własną glebę poprzez, zatrzymywanie między lejkowato usta-

# NOC CIEMNA



▲ *Pani Maria w regionalnym stroju podczas recytacji swoich wierszy na spotkaniu autorskim z czytelnikami*

Swoją skłonność do pisania wierszy długo taiła. Dzieciństwo miała dobre tylko przez parę pierwszych lat. Zaraz po wybuchu wojny wczasie okupacji straciła ojca, wkrótce umarła mama, w dwa dni po babci. Miała 10 lat, gdy została sama z młodszym bratem. Zajęła się nimi rodzina, ale sierocy chleb — gorzki chleb.

W 1944 nadchodził front od wschodu, szło uwolnienie spod niemieckiej okupacji, ale ludzie martwili się, że chleba nie będzie, zboże prosiło się o kosę. I radość była, i niepokój. Żniwa na wsi - sprawa ważna... Akurat ciotka wysłała ją na łąkę z krowami, a tu kule - jak nie zaczną bzykać! Położyła się w trawie i jakoś ją ominęły, krowom też nic się nie stało. Obok domu na pamiątkę pozostało parę głębokich lejów po bombach. Z jednego niewypału, rozbrojonego przez saperów, sąsiadka miała przez długi czas sporej wielkości wazon do kwiatów.

Wyzwolenie zapadło w pamięci jako największa radość. Nie mogąc jej podzielić z matką, pobiegła na cmentarz, wypłakać się na mogile.

Siedmioklasową szkołą ukończyła w Krasnymstawie. Dużo czytała wówczas. Była szesnastoletnią dziewczyną, gdy wyszła za mąż. Narzeczony kupił jej sukienkę, pantofle. Ujął ją tym, że poważnie z nią potrafił rozmawiać, a najbardziej, że miał... rodziców. Przylgnęła do nich jak do własnych, serdecznie pokochała. Ślub odbył się w Sylwestra 1948 roku. Własny chleb smakował inaczej, ale sporo czasu musiało minąć, zanim poczuła się prawdziwą gospodynią. Kartki z wierszami mąż darł. Teraz może i żałuje tego?

W Domu Kultury w Krasnymstawie zapisała się do Klubu Kobiet. Biegała na różne prelekcje poświęcone higienie i innym ciekawym sprawom. Przychodziło sporo dziewcząt i kobiet, mężowie czasami zaglądali, jak temat był dla nich interesujący. O prelegentach też pisała wiersze. I tak się wydało... Wiersz Marii Gleń został po raz pierwszy publicznie wypowiedziany podczas akademii na Dzień Kobiet. Miał tytuł „Turlało się serce". Musiała się wtedy pokazać jako autorka, dostała brawa. Tego samego roku, dwadzieścia lat temu, został wydrukowany w „Zarzewiu" jej wiersz pt „Dąb". Uznano ją za poetkę! Spełniło się najskrytsze, przed nikim nie wypowiadane marzenie.

W 10 zbiorach poezji ludowej są zamieszczone jej utwory. Wydawnictwo Lubelskie wydało jej własny zbiorek pt „Serce oddałam wioskom". Bo choć pani Maria wiele jeździ, uczestnicząc w spotkaniach autorskich i imprezach kulturalnych, odbywających się w różnych regionach Polski, to przecież najbardziej lubi wieś. Od lat działa w Stowarzyszeniu Twórców Ludowych w Lublinie, jest Jego wiceprzewodniczącą. Ma sporo różnych dyplomów, odznaczeń, Jest Zasłużonym Działaczem Kultury, przyznano jej medal „Order serca matkom wsi". Przez wiele lat była sołtysem, opiekunem społecznym. Był czas, że piastowała równocześnie kilkanaście funkcji społecznych.

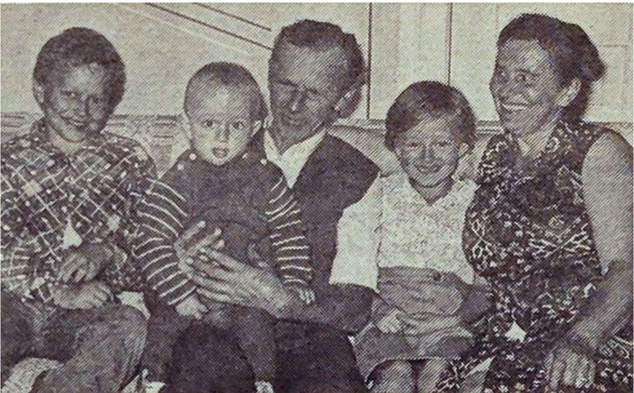
Jak dawała sobie radę? Kobieta wiele umie udźwignąć obowiązków... Idący na ryby nad Wieprz chłopi nieraz się dziwują, że w oknach Gleniowej światło się pali i bardzo wczesnym rankiem i późną nocą. I tak oto życie w codziennym kieracie, jakim jest gospodarstwo, ma inną barwę. Kiedy wiersz przychodzi - sięga pani Maria po ołówek. Potrafi się cieszyć każdą porą roku i dnia, bo dostrzega je w całej wiejskiej krasie. I kiedy jest poranek, i noc poprzedzona zmierzchem. I ileż ma satysfakcji, że ludziom jej proste wiersze trafiają do serca...

ANNA GRZYBOWIĘCKA



▲ *Świnki rosną okazale, kiedy gospodyni dba o nie*

*Ostatnia krople mleka z porannego udoju dla psa i kota* ▶
Fot. **Stanisław Wdowiński**



◀ *Maria i Michał Gleniowle ze swoimi wnukami, którzy już tylko na wakacje przyjeżdżają na wieś*

*Maria Gleń*

*POEZJA*
*Moja poezja szara i prosta*
*rodzi się we mnie w smutkach i troskach*
*i wstaje ze mną, gdy nocka wstaje.*
*Oczy się kleją w szarej godzinie,*
*lecz gdy otworzę - ona jest przy mnie.*

## OŃCA I POKARMU (1)

# RZNYCH OGRODÓW

wionymi liśćmi opadających gałązek, płatków, liści. Z tych szczątków organicznych powstaje z czasem próchnica, której masa może nawet osiągnąć kilka ton na 1 hektar lasu! W ten sposób, wysoko nad powierzchnią ziemi powstaje nowe mikrośrodowisko. Jest ono chętnie zasiedlane przez mrówki, budujące na pniach drzew swoje gniazda. Mrówki przenoszą do nich nasiona, które kiełkują i wyrastają w kwitnące rośliny. ..Ogródki mrówek", znane zwłaszcza z Ameryki Południowej, dają z kolei schronienie larwom moskitów, owadom wodnym i pierwotniakom. W ślad za epifitami na pniach drzew osiedlają się więc także zwierzęta bezkręgowe, zwłaszcza owady. Dla niektórych epifitów stanowią one pokarm, ponieważ wśród nich znane są także rośliny owadożerne.

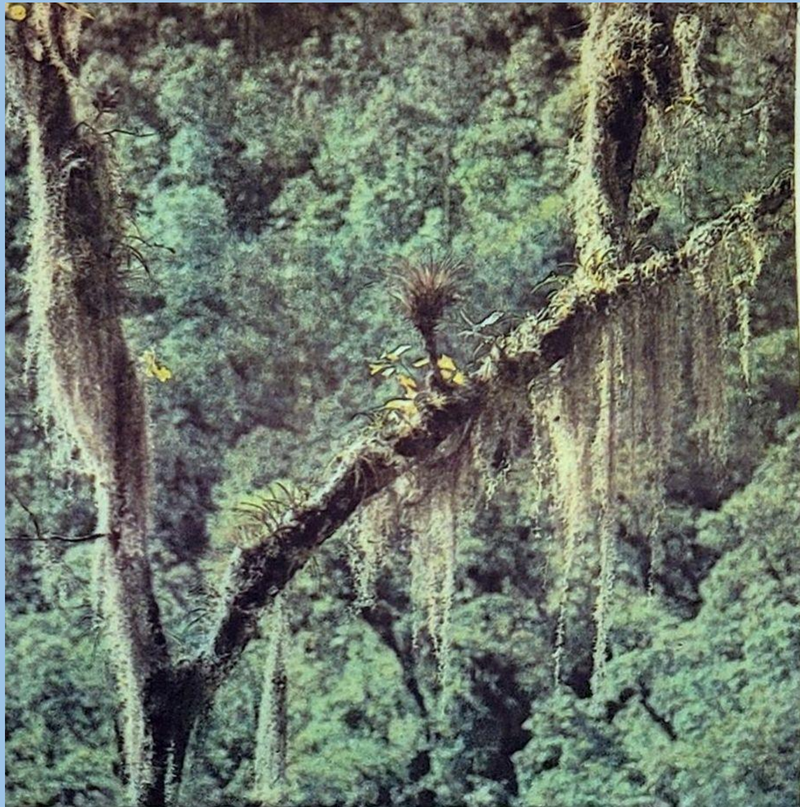
Bardzo lekkie zarodniki i nasiona epifitów rozsiewa wiatr. Niektóre gatunki wytwarzają owoce jagodowe. Ich miąższ zjadany jest przez ptaki, a nasiona wraz z odchodami opadają na gałęzie drzew.

Badania tej interesującej grupy roślin wykazały. że pewne gatunki epifitów porastają wyłącznie jeden, wybrany gatunek drzewa, większość epifitów można jednak spotkać na różnych gatunkach drzew, przy czym szczególnym bogactwem epifitów charakteryzują się drzewa stare, o spękanej korze, w której gromadzi się próchnica i krople wody spływającej wzdłuż pnia. W obrębie tego samego drzewa poszczególne epifity zajmują różne miejsca, zależnie od ich wymagań pod względem światła, wilgotności i temperatury powietrza.

Przez wiele lat sądzono, że samożywne, zielone epifity nie przynoszą szkody drzewom. W przeciwieństwie do roślin pasożytniczych - nie czerpią przecież ani wody, ani soli mineralnych z żywych komórek swojego „gospodarza". Badania ostatnich lat dowiodły jednak, że towarzystwo epifitów nie jest drzewom obojętne. Tworząc szczelne okrywy na pniach i gałęziach epifity zmieniają temperaturę i wilgotność kory, a także jej właściwości chemiczne. Pobierając wodę spływającą wdłuż pni - ograniczają jej dostęp do gleby. W ten sposób drzewa częściowo pozbawione są także różnych związków pokarmowych, wypłukiwanych przez wody opadowe z liści. Epifity pochłaniają dwutlenek węgla, a w pewnych przypadkach utrudniają drzewom wymianę gazową z otoczeniem. Niekiedy stwarzają korzystne warunki rozwoju bakteriom, grzybom i owadom pasożytującym na drzewach. Bujnie rozwinięte epifity stanowią także obciążenie gałęzi; powodując nawet ich złamanie. Przykładów negatywnego oddziaływania epifitów na drzewa można by przytoczyć więcej. Nieliczne przypadki pozytywnego ich wpływu dotyczą wyłącznie epifitycznych glonów i porostów, zdolnych do wiązania wolnego azotu.

EWA SYMONIDES
Fot. **Marek Ostrowski**

- GROMADZĄ WODĘ W ZBIORNIKACH
- KWITNĄ WSPANIALE, ALE SZKODZĄ DRZEWOM



# BEZ NAKAZÓW

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

wać jakiś puchar. Ale skoro tak zadecydowałyście, na pewno jakiś się znajdzie - to dyrektor.

- Wynikły wybory szkolnej Miss Najsympatyczniejszej - to znów dziewczyny. - I spotkanie z ludźmi, którzy wspinali się na szczyty Himalajów i z przewodniczącą mrągowskiej Ligi Kobiet. Wiedziałyśmy o niej tyle dobrych rzeczy, że to jej właśnie chciałyśmy zadać pytanie: jak żyć?

- A jeszcze i zobowiązanie każdej klasy do stworzenia własnego, oryginalnego kabaretu. Po to, by w każdą z trzech sobót miesiąca, kiedy nie wyjeżdżamy do domów, a pozostajemy w internacie, milej płynął nam czas. Po to także, by uatrakcyjnić tymi programami uroczystości szkolne.

**O tym, co charakterystyczne dla ich przyszłego zawodu**

To chyba nic dziwnego, że w szkole, która kształci przyszłe wychowawczynie przedszkoli i nauczycielki nauczania początkowego, istnieje aktywnie działające Koło Przyjaciół Małego Dziecka; że klasy mają własne teatrzyki dla dzieci z własnymi bajkami; że klasy młodsze organizują choinki noworoczne i imprezy z okazji Dnia Dziecka w różnych zakładach pracy; że dziewczyny stąd są stałymi gośćmi w mrągowskich domach dziecka, gdzie od święta dają przedstawienia według własnych scenariuszy, a na co dzień pomagają dzieciakom w nauce, zaś z małymi podopiecznymi prowadzą rozmowy i zabawy rozwijające ich myślenie i mowę, chodzą na spacery, zwyczajnie dają im trochę ciepła i miłości.

Pewnie, że to nic dziwnego, ale zachodu wymaga.

I jest realizowane. Tak samo jak wycieczki, o których pan dyrektor dowiaduje się tuż przed wyjazdem, czy dyskoteki, na które poszczególne klasy zapraszają zaprzyjaźnionych chłopaków ze szkoły zawodowej.

- Mają swoje bilateralne układy — to dyrektor.

Z uśmiechem.

- A nasza sekcja radiowa co miesiąc przygotowuje audycje poetycko-muzyczne, zupełnie samodzielnie, bo pan dyrektor wręcz sobie nie życzy cenzurowania — to dziewczyny.

- Pewnie, że nie życzą sobie, a wynika to z mojego rozumienia samorządności - to znów dyrektor. Pokasłując, bo ostatnio jest permanentnie zaziębiony.

**O samorządności**

- Jak ją rozumiecie? — to ja.

- Zwyczajnie, jako organizowanie życia szkoły według własnych potrzeb, zainteresowań, propozycji. To fakt, że działalność samorządu nie może kolidować z funkcjonowaniem szkoły jako instytucji — nie mamy np. wpływu na układanie planu lekcji - ale możemy udoskonalać życie szkoły w najszerszym tego słowa znaczeniu: przez pomoc panom w kuchni i paniom sprzątającym.

- Miały nawet zamysł stworzenia tzw. rady konsumenta, która m. in. układałaby wraz z intendentem stołówkowy jadłospis, kontrolowała gramaturę i kaloryczność posiłków. Zamysł dobry, ale jakoś nie wyszło - to dyrektor.

- Co wcale nie znaczy, że z niego zrezygnujemy - odpowiedź dziewczyn.

- Dlaczego w waszym zarządzie są same dziewczęta ze starszych klas? Czy młodsze nie mają tu praw?- to ja.

- Ależ skąd! Rzeczywiście przewodniczące sekcji są z klas starszych, ale już np. przewodniczącymi dwóch podsekcji w sekcji kulturalnej są dziewczyny z klas drugich. One z kolei dokooptowały sobie po trzy osoby z Idas pierwszych. W sekcji gospodarczej też są pierwszoklasistki - tłumaczą dziewczyny. - Ale my po prostu wiemy, jakim szokiem bywa przejście do nowej szkoły, zupełnie nowego środowiska, bo same to kiedyś przeżywałyśmy. Więc zamiast zwalać na nie od razu robotę, na początek dajemy im możliwość zaaklimatyzowania się, poprzyglądania się naszej pracy, a potem stopniowo je do niej wciągamy.

**O wspólnocie Interesów**

- Bez niej nie ma samorządności.

Tak tu się przynajmniej uważa. Więc skoro w szkole działają m. in. tematyczne koła zainteresowań i koło praktyk pedagogicznych, i zespół wokalno-instrumentalny, i LOK, PTTK, SKS, PCK, nie mówiąc już o harcerstwie, to przewodniczący wszystkich tych instytucji plus jeszcze rady internackiej wchodzą oczywiście do zarządu samorządu szkolnego.

A jakże, dyżury i apele też są organizowane, swój fundusz też mają: 7 proc. od każdej klasy za wykopki i sadzenie lasu, ba, istnieje przy samorządzie serwis fotograficzny, zobowiązany do opstrykania wszystkich ważniejszych wydarzeń.

A z czego wynika ta spójna całość mrągowskiego Studium? Podejrzewam, że dużą rolą odgrywa tu fakt, iż dyrektor Sokołowski jest całkowicie za samodzielnością nauczyciela w jego poczynaniach wychowawczych i dydaktycznych, stawia na samorządność młodzieży, na odpowiedzialność jednych i drugich oraz na jednych i drugich kompetencje.

- Nie można tłamsić ludzi, zabierać inicjatywy, bo obróci się to przeciwko nam - podkreśla dyrektor.

Jak mu nie wierzyć, przyglądając się życiu jego szkoły? A po szkole biega Mops.

EWA KOSIŃSKA

GWIAZDOZBIÓR

# Narodziny nowego Tarzana



O Tarzanie do niedawna mówiło się, że odszedł bezpowrotnie 21 I 1984 r. w momencie śmierci Johnn'ego Weissmüllera. Byl to najsłynniejszy odtwórca postaci bohatera cyklu przygód zawartych w 22 tomach autorstwa Edgara Rice Burroughsa. Tak wielkiej sławy żaden z innych wykonawców tej roli nie zdobył. A było Ich wielu. Pierwszego w historii kina Tarzana zagrał Elmo Lincoln, po nim Cene Pollar (strażak z zawodu), Perce Dempsey Tobler (śpiewak operowy), James. Pierce (zięć Burroughsa) i Frank Merril (cyrkowy atleta); Wszyscy oni byli Tarzanami kina niemego.

Kino dźwiękowe już w latach trzydziestych sięgnęło po ten sprawdzony temat. Wtedy właśnie na ekranach zabłysnął Johnny Weissmüller - wspaniały pływak. Wtedy wymyślony został słynny, przeszywający okrzyk Tarzana. Weissmüllcr zagrał tę postać aż w 11 filmach z lat 1932-1948. Jego konkurentami byli również sportowcy - pływak Buster Crabbe, mistrz w podnoszeniu ciężarów z olimpiady w Amsterdamie - Herman Brinx i mistrz w strzelaniu z igrzysk w Berlinie - Clen Morris.-

W znacznie późniejszych ekranizacjach (1962 r.) Tarzana grał dubler Johna Wayne'a i Gregory Pecka - Jack Mahonney. *Sam Weissmuller dożył jeszcze jednej próby „reanimowania" postaci, którą unieśmiertelnił* - pisał Jan Słodowski („Film" nr 19 z 1984 r.) - w *filmie Johna Dereka. Ale jest to film o Tarzanie bez Tarzana (...) „Biała małpa" kreowana przez Miase 0'Keffe - długowłosego hippisa o delikatnej twarzy jest jedynie przedmiotem-maskotką.*

Ostatnio wygląda na to, że mit się odradza, a Johnny Weissmuller znalazł godziwego następcę. Jest nim 26-Jetni Amerykanin francuskiego pochodzenia - Christópher Lambert.

Nowy film, noszący długi tytuł ,,Greystoke: Legenda Tarzana, króla małp" w reż. Hugha Hudsona - jest superprodukcją. Jego koszt wyniósł aż 27 milionów dolarów.

Twórcy filmu powróciji do pomysłu z pierwszej książki długiego cyklu Burroughsa - zderzenia świata cywilizacji ludzkiej ze światem dzikich zwierząt, tzn. przede wszystkim Anglików z epoki edwardiańskiej ze społeczeństwem małp. Małpy w tym porównaniu wypadają... lepiej. Tak pomyślany film w przeciwieństwie do przedwojennych obrazów zatracił największą wadę pierwowzoru - infantylność. Stanowi doskonałą komedię obyczajową.

Wychowujący się od niemowlęctwa w stadzie małp John Clayton, siódmy Książę z rodu



Greystoke, prawdę o swym pochodzeniu poznaje, gdy jest już dorosły. Wraca do cywilizacji i próbuje podporządkować się jej wymogom. I właśnie w tym momencie kończy się romantyczna baśń o zagubionym dziecku, a zaczyna obyczajowa satyra.

Wiele innych elementów różni jeszcze film Hudsona od poprzednich. Małpy z najbliższego otoczenia Tarzana (którego imię zresztą w filmie nie pada) – grane są przez ludzi. Nie udają oni zachowań zwierzęcych, lecz tworzą zróżnicowane indywidualności. Tarzan jest także inny. Nie przypomina wysportowanego kulturysty, ale jego ruchy pełne są iście zwierzęcego wdzięku i harmonii. To prawdziwe dziecko natury – piszą o nim zachwyceni recenzenci. Christópher Lambert gra doskonale, choć zupełnie inaczej niż poprzednicy. Nie powtarza nawet słynnego okrzyku Tarzana, bez którego się nie obszedł żaden z poprzednich dźwiękowych filmów o tej małpie.

Narodził się rzeczywiście nowy Tarzan i wygląda na to, że zdystansuje wszystkich dotychczasowych. **(eb)**

Fot. *Ciné Revue*

**OPOWIADANIE SYLWII BRYLSKIEJ Z PYRZYC NAGRODZONE W KONKURSIE LITERACKIM „BRĄZOWĄ OSTROGĄ".**




# List otwarty do rówieśnika sprzed lat

**Prof. Brian Castelli**
**Al. Komputerów 1116/624**
**Centrum Sterowania Czasem**
**Kod 8834-2600**
**Rok 1898**
**Hrabia Alojzy Branicki**
**(panicz na Wronowicach)**

**Pyrzyce, 21 marca 1984 roku**

**Cześć, stary draniu!**

Z pewnością straszliwie Cię będzie dziwić zwrot, którym zaczęłam swój list, ale dowiedz się, że pisała go osoba, która żyje prawie sto lat po Tobie i zupełnie inaczej się wyraża niż Ty i Twoje otoczenie.

Zupełnie inaczej nam się też tu żyje. Mamy mnóstwo dobrodziejstw typu radio (to taka skrzyneczka, po której wciśnięciu usłyszysz wszystkie afery naszego świata), telewizor (coś podobnego, ale pokazuje się tu również i obrazy wszystkich zdarzeń), telefon (cudo pana Bella chyba znasz, bo rozpowszechniono je na cały świat, tak, tak!), samolot, samochód (przenoszą ludzi na odległość, a samolot to coś podobnego do cudu braci Wright) i rzecz zupełnie Ci nieznaną — rakietę kosmiczną, którą ludzie latają na Księżyc.

Tak, tak, już widzę Twój wytrzeszcz gał (to takie zapożyczenie z naszego języka, o którym Ci jeszcze opowiem). i szukanie potwierdzenia w którymś z dzieł Juliusza Verne'a, które jak się domyślam nagminnie czytujesz. Pewnie myślisz: „osoba płci niewieściej, stosownego do żartów wieku, zainteresowała się lekturą i chce przelać swoje wrażenia".

Nie, to nie są urojenia. Zresztą, gdy zgłosisz się do Laboratorium Czasu, prof. Castelli (adres na kopercie), przeniesie Cię w nasz wiek, a wtedy zrozumiesz i pojmiesz wszystko. Na razie jesteś w tych sprawach ciemny jak noc grudniowa.

Dziwisz się ostatniemu zdaniu. „Coś się tej panience pomieszało w głowie". Otóż nie. Masz prawo jednak się dziwić, bo nie znasz naszego języka. Jest on nieco inny niż Twój i nie wszyscy ludzie lubią nasz specjalny młodzieżowy dialekt, a profesorowie prawią milowę kazania (tzn. bezskutecznie przekonują) o użyteczności poprawnej polszczyzny. Aleja czytałam w prasie, że przecież u Was używa się również pewnych słów, które stały się zaczątkiem naszego języka.

Nasze szkolne życie kwitnie różnie, ale nie jest nam tu nudno, często obrywamy faje, cwaje, bomby, gaty, małe parzyste, glany (tzn. dwóje), choć zdarzają się wśród nas również i kujony, zakuwacze, okularnicy (tzn. prymusi), tych jest jednak mało, i nie przeszkadzają nam w robieniu świrów, hec, śmichów (tzn. figli) belfrom, tłumaczom, psorom (profesorom) i nadawaniu im rozmaitych przezwisk.

W domu często dostajemy po uszach od starych (otrzymujemy kary od rodziców), na skutek czego niektórzy z nas dają nogę za chatę (uciekają z domu). Być może zbulwersują Cię nieco i zgorszą niektóre wyrażenia, ale takie jest życie młodzieży XX wieku. Zaraz, zaraz, jak Ty to powiesz? „Swawolne i nieco prymitywną kulturą gorszące". Podobnie swawolna (w poglądowości i wyobrażeniu Twojej epoki) jest nasza moda. Twoje szanowne i dystyngowane ciotki, mama, babcia, do których zgodnie z wyrażeniem Twojej epoki „szacunek żywię i do stóp upadam", poomdlewałyby z przerażenia i zgorszenia widząc nasze spódnice-mini zaledwie zakrywające łydkę, czy dziewczęce spodnie (tak!!) i wiele innych akcesoriów współczesnej mody. Przepraszam za te współczesne wyrażenia, ale język mój nie przywykł do kwiecistych zwrotów Twoich lat, zaś moi koledzy i koleżanki, noszący się luźno i swobodnie, z pewnością wydaliby również okrzyk niedowierzania, patrząc na Wasze ściśnięte damy czy stroje plażowe, które obecnie kropka w kropkę przypominają stroje na karnawałowe maskarady. Nawiasem mówiąc, te zostały zastąpione przez dyskoteki-zabawy przy gramofonie (czy jak Wy to mówicie: „nowym, błyskotliwym wynalazku p. Edisona, który pozwala na przekazywanie wypowiedzianego wcześniej dźwięku").

W związku z tańcem przypomina mi się pewna historyjka, którą usłyszałam z ust prof. Castelli. Pewna osoba (dama z 1833 r.) postanowiła wybrać się do roku 1987. Trafiła akurat na dyskotekę i... zaraz wróciła krzycząc: „Szanowny Panie, Pan dokonał na mnie obrazy, zawiódł mnie Pan do domu obłąkanych". Ty na pewno doznasz zdziwienia i zadasz sobie pytanie: „Jakiż jest ten ich taniec? Dlaczego ta dama doznała palpitacji nerwowych, czyżby był on aż tak nieskromny i nieprzystojny?" Otóż muszę Ci wyjaśnić pewną sprawę. W Waszym pojęciu, taniec to skomplikowany układ ruchów, kroków, obrotów i czegoś tam jeszcze, u nas to luźne potrząsanie, kroki w rytm muzyki. U nas nieważny jest fakt jak się tańczy, ale sam fakt uczestnictwa w zabawie. Tańczy się w parach, trójkach, ale nade wszystko cenimy tańce indywidualne (tak!), do których wymyślamy różne kroki, potrząsania. Dla nas ma to wiele uroku, a Wam może to przypomnieć nieco szpital dla psychicznie chorych (u Was - dom obłąkanych).

Myślę, że po tym dokonanym przeze mnie opisie dzisiejszej młodzieży, pobiegniesz urywając się z chaty do psora Misia (Castelli), weźmiesz jego grata (wehikuł czasu) i wpadniesz do nas, aby zobaczyć jak się mamy (przyjedziesz w nasz wiek).

Ale na razie: cześć, hej, siemasz, czyli Wasze „Do widzenia, kłaniam się, a szacunek wielki żywię".

**Sylwia Brylska (15 lat)**

*Tam, gdzie jeżdżą zgodnie z rozkładem...*

# MÓWIĄCY PRZYSTANEK

Przymocowany do ulicznego słupka, wygląda jak niewielki głośnik. Oznajmia przyjazd autobusu. Ale urządzenie nie jest jedynie przekaźnikiem nagranych informacji. Zaprojektowany w Wydziale Kontroli Ruchu i Komunikacji w Bristolu w Anglii, ELSIE (elektroniczny system mówionej informacji) ma możliwość komunikowania się z poszczególnymi autobusami. Po naciśnięciu guzika elektroniczny głos podaje czas, numer i trasę autobusów zatrzymujących się na przystanku oraz zgodny z rozkładem czas przyjazdu najbliższego z nich. ELSIE mówi również nie pytany - automatycznie podając czekającym numer i trasę zbliżającego się do przystanku autobusu.

Konstruktorzy dali ELSIE żeński głos, aby nadać mu przyjemne brzmienie, a słownik „mówiącego przystanku” zawiera 100 słów - z możliwością tworzenia z nich zwrotów i zdań.

## UŚMIECH NUMERU

**NAFCIARZ Z TEXASU, mułtimilioner, zaprosił swego szkolnego kolegę na przejażdżką swoim nowym luksusowym samochodem. Kiedy mułtimilioner usiadł za kierownicą, kolega pyta:**

**- Prowadzisz bez okularów? Zawsze byłaś strasznym krótkowidzem!**

**- Stać mnie na to! - odpowiada nafciarz. - Przednią szybę kazałem zrobić według recepty okulisty!**

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 7 (3937)

Wychodzi: wtorki, czwartki, soboty
Nr indeksu 35046 PL ISSN 0137-93214

ADRES REDAKCJI: ul.Mokotowska 24
00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel.:53-77-33 telex 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny) Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnlk (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (zastępca red. nacz.), Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
TELEFONY.: Red. Naczelny 21-15-61. Sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami - 21 -81 -13 (czynny w godz. 11-15).
TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW ,,Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne: Marlena Hanke
Opracowanie techniczne: Barbara Zając
Korekta: Bianka Abratowska-Lisowska
Nakł. 500 000. Nr zam. 4969/G. M-18
DSP DRUK: Zakłady Graficzne
Dom Słowa Polskiego

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

# UFO A BRAK TOLERANCJI...

*Szanowny Panie Prezesie!*

*Jestem stałym czytelnikiem „Tomika". Niejednokrotnie czytając zamieszczone w nim artykuły napotykam na takie, które poruszają problem UFO. Nie dlatego jednak zdecydowałam się napisać ten list. Najbardzioj uderzyły mnie Pańskie recenzje dotyczące wyżej wspomnianych wypowiedzi. Przywykłem już do tego, że przed rozpoczęciem czytania zapoznaję slę najpierw z „gorącymi" słowami skierowanymi przez Pana do czytelników. Nie byłoby w nich nic dziwnego, gdyby nie jeden wciąż powtarzający się fakt, a mianowicie: odkąd tylko zacząłem czytać wspomniane recenzje nie spotkałem się jeszcze aby były one pozytywnie nastawione do tych kolegów, którzy chcieli ukazać nam niezidentyfikowane zjawiska jako prawdę. Nie spotkałem również słowa krytyki innych poddających w wątpliwość te zjawiska. Nietrudno dostrzec, że jest to jawne faworyzowanie tych ostatnich. Uważam, że Pan jako prezes musi zachować w tej obustronnej dyskusji stanowisko obojętne. Uważam, również, że zamieszczane w „Tomiku" recenzje są po prostu formą agitacji,, które przy osobie prezesa nie powinna mieć miejsca. Po trzecie, mając „za plecami" taką autorytatywną osobistość lak Pan, posiada się pewną wyższość nad przeciwnikami (mam tu na myśli oba ugrupowania wymieniające swoje poglądy na łamach „ŚM"). Jeśli ma to być dyskusja, niech będzie ona otwarta i prawdziwa, wszakże jeszcze nikt nie udowodnił istnienia UFO, ale również nikt zjawiska tego nie obalił. Osobiście - ustosunkowany do UFO obiektywnie, uważam, że jest to brak tolerancjl dla tych, którzy ośmielają się mieć inne zdanie niż Pan. Sądzę, że wzbudza to słuszne oburzenie u kolegów uznających istnlenlo owych obiektów za prawdziwe.*

*Z poważaniem* ***Czytelnik***

*P.S. Według mnie recenzja powinna być w postaci zbliżonej do streszczenia, nie zaś własnego zdania.*

**No i dostało mi się, zresztą nie po raz pierwszy. Rzeczywiście, uwagi Czytelnika są trafne. Najczęściej moje uwagi o przytaczanych na łamach TOMIKA zjawiskach UFO są sceptyczne. Mam chyba takie samo prawo do wyrażania swego zdania jak każdy inny i nle jest to sprzeczne z zasadami tolerancji. Przesadne jest również twierdzenie Czytelnika, że swoją postawą sceptyka dyskryminuję wiernych kibiców zjawisk UFO. Proszę mi wskazać inne pismo w Polsce, które tyle miejsca poświęciłoby problemowi UFO co „ŚM". TOMIK istnieje już kilkanaście lat i w tym czasie ukazało się na jego łamach dziesiątki ważniejszych doniesień o zjawiskach niezidentyfikowanych. Większość z tych „pewniaków" okazała się, mówiąc oględnie, mistyfikacjami. Osobiście uważam, że rozpętana niezdrowa atmosfera wokół UFO wyrządziła sporo szkód w umysłach, szczególnie młodych ludzi. Nie chciałbym wymieniać nazwisk polskich i zagranicznych „specjalistów" od UFO, którzy swoimi książkami i publikacjami sporo namieszali, zbijając na ludzkiej naiwności nie mały kapitał. Chciałbym w tym miejscu oświadczyć, że bardzo cieszyłbym się z faktu nawiązania łączności Ziemian z inną cywilizacją kosmiczną. Jestem zresztą przekonany, że nie jesteśmy we wszechświecie jedynymi rozumnymi istotami i możliwe, że w przyszłości taki kontakt, chociażby radiowy, nastąpi. Nie mogę jednak akceptować i uważać za naukowe bajek o ufoludkach. Mam świadomość, że mój sceptycyzm wielu wierzących w UFO jeszcze bardziej rozgniewa. Ale tak już jest z każdą wiarą, która odrzuca racjonalizm, bo jest on mniej atrakcyjny.**

**PREZES**

# UFO i fakty

Chciałbym w swoim artykule przekazać garść faktów o rzeczywistym pochodzeniu rzekomo obserwowanych zjawisk UFO. Nie chcę przez to podważać Istnienia innych cywilizacji. Zajmuję tutaj najbardziej neutralną pozycję podając tylko stwierdzone przez naukę fakty.

90 procent zaobserwowanych dotąd zjawisk UFO udało się wyjaśnić jako:

- widoczne w dzień gwiazdy (np. Wenus),
- szereg zjawisk optycznych mających powiązanie ze Słońcem i Księżycem. Przykładem może być tu obserwowane przez żeglarzy zjawisko „zielonego promienia".
- meteoryty i bolidy przechodzące przez gęste warstwy atmosfery ziemskiej
- zjawiska meteorologiczne
- sterowce reklamowe;
- liczne balony badawcze, stratosferyczne, sondy meteorologiczne, prototypowe i doświadczalne samoloty;
- balony szpiegowskie i służące do walki psychologicznej (w czym szczególnie- celuje USA i NATO);
- próby nuklearne, np. próbne wybuchy jądrowe w atmosferze (warto dodać, że do 1981 r. było ich 382, a więc bardzo pokaźna liczba);
- elektryzacja statków powietrznych w atmosferze;
- pioruny kuliste, chemoluminescencja;
- złudzenia optyczne - fatamorgany itp.;
- wielkie grupy owadów czy ptaków.

Niewątpliwie, wśród niewyjaśnionych dotąd obserwowanych zjawisk UFO znajdują się tajne eksperymenty wojskowe. Źródła zachodnie twierdzą, iż mogą to być próby związane z:

- bronią laserową, które prowadzi się od 1970 roku na pustyni White Sands w USA;
- odwrotnością lasera - daserem, który powoduje sztuczne ciemności;
- bronią geofizyczną mogącą zmienić właściwości fizyczne (nawet w obrębie Układu Słonecznego);
- próbami pocisków „Cruise";
- bronią antysateiitarną: protonową, elektromagnetyczną, impulsową itp.;
- próbami pocisków balistycznych startujących spod wody;
- próbami tzw. „latających okrętów podwodnych" czyli samolotów startujących spod wody (!).

Naukowcy amerykańscy stwierdzili, że relacje rzekomych uczestników Bliskich Spotkań charakteryzują się różnymi doznaniami psychicznymi. W książce Janusza Wojciechowskiego pt. „UFO i prawdziwe latające talerze", z której przy opracowaniu artykułu korzystałem, autor powołując się na źródła zachodnioniemieckie wyraża przypuszczenie, iż mogą to być próby wojskowe związane z bronią infradźwiękową. Skutkami jej działań mogą być np. zakłócenia wzroku, ataki paraliżującego strachu, itp. Mogą one mieć również związek z bronią psychologiczną, która może wywoływać zjawisko masowej halucynacji itp.

Na zakończenie chciałbym jeszcze podać klasyfikację zjawisk UFO, która jest stosowana w wielu krajach.

NL - odległe światło nocne,
DD - obiekt obserwowany z odległości w dzień
RV - jednoczesna obserwacja wzrokowa i radiolokacyjna
CE-I - Bliskie Spotkania Pierwszego Stopnia
CE-II – „ „ Drugiego Stopnia
CE-III - „ „ Trzeciego Stopnia - bezpośrednia obserwacja obiektu i jego załogi.

**Marek Frow**
**Al. Marcinkowskiego 13/23**
**63-800 Kępno**
**czł. KKMF „Hadar"**

PS. Poszukuję książek polskich i zagranicznych pisarzy z zakresu fantastyki naukowej.

# UFO na... żądanie

***Ten młody człowiek z RFN, Klaus Weber, wyspecjalizował się w „produkcji" UFO. Statkami „przybywającymi z kosmosu" są najczęściej różnego kształtu pokrywki od garnków, czajników itp. Najpierw fotografuje oddzielnie pejzaż czyli tło, oddzielnie też robi zdjęcia samych „pojazdów", a w wyniku montażu negatywów powstają znakomite efekty, nad którymi głowią się później ufolodzy.***

TOMIK

ność wydawała się zjawiskiem z innego świata. „Jaśniała niczym gwiazda, przyciągała spojrzenia wszystkich, zarówno mężczyzn jak i kobiet".

Cóż więc dziwnego, że cesarzowa Eugenia, pewna własnego uroku, pragnęła wciąż nowych podbojów.

Była też w jej życiu inna podróż, do Algieru, zakończona łzami i żałobą, wówczas to nadeszła wiadomość o śmierci ukochanej siostry, księżny Alba.

Niemiłe wspomnienie pozostawiła jedynie wizyta w Hiszpanii, ale niepopulamość cesarzowej Eugenii w jej ojczyźnie tłumaczyła się jeszcze bardziej niepopularną wojną w Meksyku.

Lud Madrytu obrzucił wyzwiskami niepożądanego gościa, cesarzowa Eugenia nie mogła pokazać się na ulicy, nie mogła udać się na corridę — policja nie gwarantowała jej bezpieczeństwa. Tym jednak razem, podróż do Egiptu nie miała politycznego charakteru. Był to hołd oddany francuskiemu geniuszowi, gdyż twórca wielkiego dzieła, które napełniło świat cały podziwem, był Francuzem.

Wicehrabia Ferdynand de Lesseps, daleki krewny cesarzowej Eugenii, z zawodu dyplomata, w karierze tej szedł śladami ojca i dziada. Dał się poznać konsulatom i ambasadom Francji w wielu stolicach: Lizbona, Tunis i Kair, Aleksandria i Rotterdam, Barcelona, Madryt i Rzym — oto miasta gdzie dobrze znano wysoką, zgrabną sylwetkę eleganckiego Francuza z czerwoną wstążeczką Legii Honorowej w klapie. Otrzymał Krzyż Kawalerski za niezwykle bohaterską i wysoce ludzką postawę podczas straszliwej epidemii dżumy, jaka właśnie zdziesiątkowała Aleksandrię.

Po rewolucji lutowej czterdziestego ósmego roku wycofał się ze służby dyplomatycznej, poświęcając się całkowicie wielkiemu dziełu, jakim było przebicie Kanału Sueskiego.

Ta myśl opętała go już wówczas, gdy pierwszy raz znalazł się w Egipcie. Cieszył się przecież przyjaźnią samego wicekróla Mohammeda-Saida-Paszy, który z równym entuzjazmem zapalił się do nieprawdopodobnego - w mniemaniu większości - projektu. Czyż rządy angielski i turecki nie określiły owego przedsięwzięcia jako „chimeryczne i niewykonalne?"

Ponadto potrzebne były pieniądze, ogromne pieniądze. Lessepsa nie powstrzymała i ta przeszkoda. Założył Towarzystwo Budowy Kanału Sueskiego i w ciągu kilku lat udało mu się zebrać dwieście milionów, co pozwoliło już w 1859 roku rozpocząć roboty.

Myśl nie była nowa, można ją znaleźć u Starożytnych, w pismach Strabona* i Pliniusza**.

Faktem jest, że ten wąski, łączący dwa kontynenty przesmyk, „istmus", jak go nazywano, pomiędzy Morzem Śródziemnym a Czerwonym, ogromnie skracał podróż z Europy do Indii i dalej na Wschód.

Do XV wieku, czyli do wielkich odkryć geograficznych, dokonanych przez dwie ówczesne morskie potęgi Hiszpanię i Portugalię, tę właśnie drogę obierały statki płynące na Wschód. Był to jedyny szlak wówczas znany.

Statki przybijały więc do portu w Aleksandrii. Tam przywiezione z Europy towary ładowano na grzbiety wielbłądów, które niosły je przez pustynię. Nad Morzem Czerwonym inne statki zabierały je w dalszą podróż.

W 1486 roku portugalski żeglarz Bartłomiej Diaz zapędził się daleko na południowe wybrzeża Afryki i odkrył Przylądek Burz, nazwany później bardziej łagodnie Przylądkiem Dobrej Nadziei.

W jedenaście lat potem Vasco da Gama pierwszy opłynął ląd afrykański, wskazując przyszłym żeglarzom nową drogą morską do Indii.

Mimo tego odkrycia statki z pasażerami na pokładzie lub z lekkim, delikatnym a cennym ładunkiem w lukach, w dalszym ciągu korzystały z utartego szlaku, przenosząc grzbiety wielbłądów nad daleką i niebezpieczną podróż morską. Towary ciężkie, zajmujące wiele miejsca, a przy tym odporne na długi pobyt na morzu, płynęły już dokoła Afryki śladem Vasco da Gamy.

W 1854 roku Lesseps przedstawił wice-królowi Egiptu projekt kanału, który by połączył dwa morza, a w roku następnym rozpoczęto prace przygotowawcze.

Cdn.

---

* Strabon — starożytny grecki geograf I w. p.n.e. — I w. n.e.)

** Pliniusz Starszy (I w. n.e.) - autor „Historii naturalnej" i encyklopedii z zakresu geografii, etnografii, zoologii i historii sztuki.

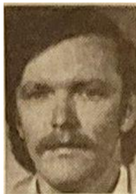


## NAJKRÓTSZA HISTORIA WYNALAZKÓW

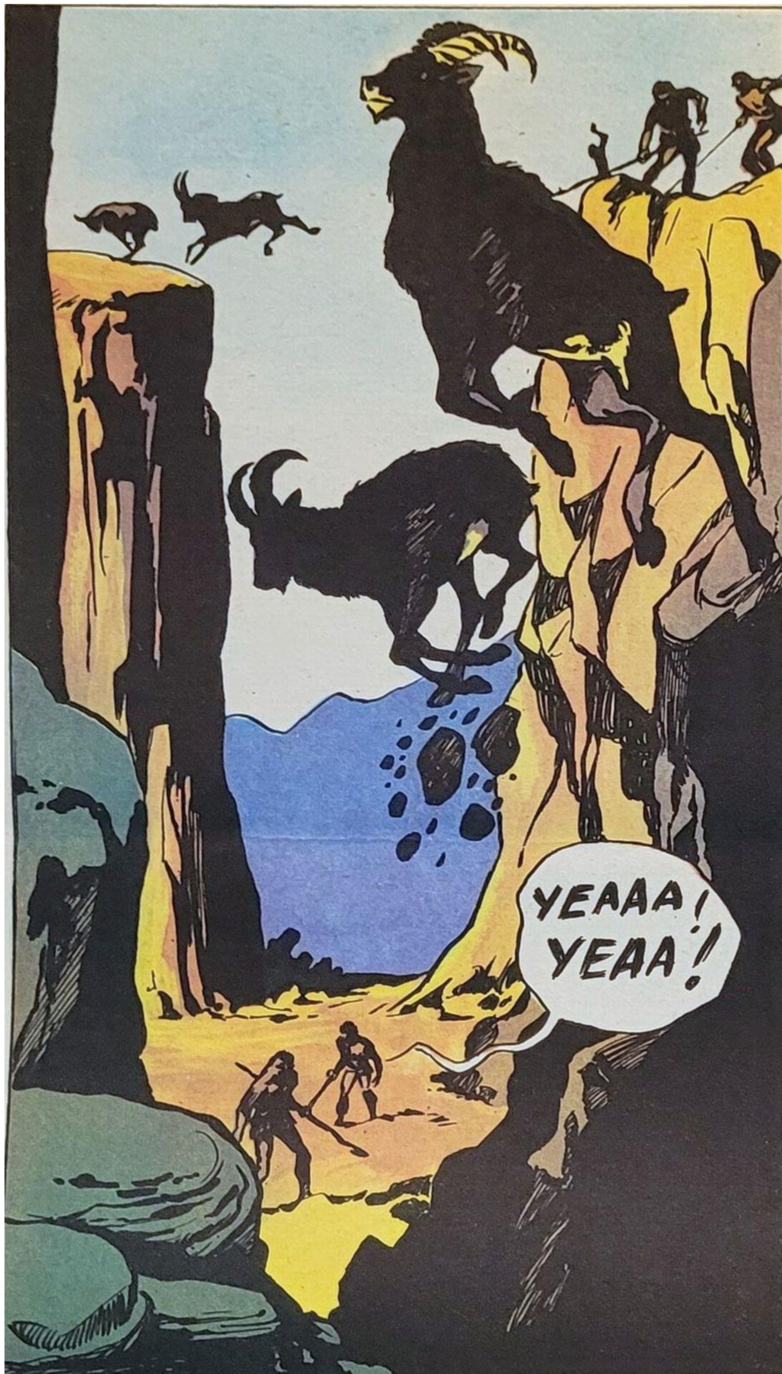
3

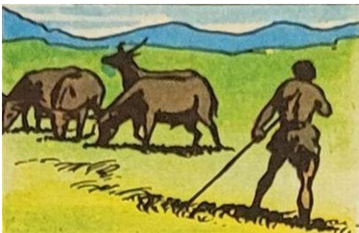
# PRZEZ ROLNICTWO DO CYWILIZACJI

*BOLESŁAW ORŁOWSKI- TEKST RYSUNKI— TADEUSZ RACZKIEWICZ*

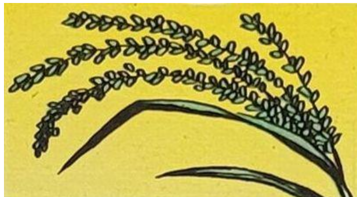


Przez setki tysięcy lat nieustannych łowów myśliwi epoki kamiennej dobrze poznali zwyczaje zwierząt, na które polowali. Doszło z czasem do specjalizacji - poszczególne gromady tropiły najbardziej im odpowiadający gatunek zwierzyny. Podążały w ślad za stadem, trasą jego sezonowych wędrówek, ubijając w miarę potrzeby po kilka sztuk. Stopniowo stado przyzwyczajało się do stałego sąsiedztwa ludzi i popadało w coraz większą od niego zależność. Ludzie chwytali i obłaskawiali młode zwierzęta. Z czasem oswojeniu ulegało całe stado, a wspólne koczowanie przekształcało się w pasterstwo.



Mniej więcej w tym samym czasie zaobserwowano, że porzucone przypadkowo ziarno po pewnym czasie kiełkuje i wschodzi jako



nowa roślina. Być może dopomógł w tym przypadek, na przykład powrót na miejsce dawnego obozowiska. Prawie na pewno odkrycia tego dokonała kobieta, gdyż zbieranie jadalnych owoców, korzonków i ziaren należało wówczas do zajęć kobiet i pozostających pod ich opieką dzieci. Oczywiście, upłynęło wiele czasu zanim ludzie zaczęli celowo siać ziarno, by po odpowiednim czasie powracać na to samo miejsce dla zebrania plonów. W ten sposób zapoczątkowano rolnictwo.

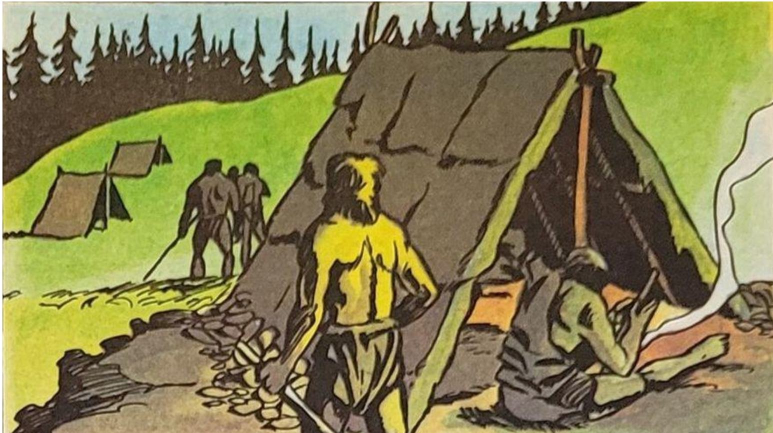
Najdawniejsze początki hodowli roślin i zwierząt miały miejsce przeszło dziesięć tysięcy lat temu w południowo-zachodniej Azji (na obszarze dzisiejszej Turcji, Iraku i Iranu). Tereny te były ojczyzną dzikich owiec i kóz — pierwszych zwierząt gospodarskich człowieka. Zbiegiem okoliczności, na tym samym w przybliżeniu obszarze rosły dziko pszenica i jęczmień, najważniejsze z pierwszych uprawianych przez człpwieka roślin.

Tak więc, człowiek zaprzestał pasożytowania na przyrodzie i od tego momentu zaczął z nią współdziałać w wytwarzaniu żywności. Rolnictwo okazało-się niebawem znacznie pewniejszym i bardziej opłacalnym sposobem zdobywania pożywienia niż myślistwo-zapasy ziarna można było gromadzić i przechowywać na „chude lata". A hodowla zwierząt zapewniała obfitość mięsa i skór. Przestano więc się lękać głodu i niedostatku.

Uprawne pola stanowiły wymarzone wprost pastwiska dla zwierząt roślinożernych. Nęciły okoliczne żyjące dziko stada. „Wchodząc w szkodę" ulegały one stopniowo udomowieniu. Tą drogą pozyskał człowiek świnię, a następnie krowę, najważniejsze ze swych zwierząt gospodarskich. Od początku ludzie dążyli do rozwijania najbardziej dla nich korzystnych i pożądanych cech swej trzódki. Z biegiem czasu udało im się wyhodować „chorobliwie otyłe" odmiany świń oraz owce o nienaturalnie bujnej i gęstej wełnie.

Decydując się na uprawę roli, człowiek musiał porzucić dotychczasowy koczowniczy tryb życia. Osiedlał się w miejscach, gdzie gleba była żyzna i zapewniała obfite plony. Przejście na osiadły tryb życia było niesłychanie ważnym momentem w dziejach ludzkości - pociągnęło za sobą ogromnie istotne następstwa, których skutkl odczuwamy do dziś. Zaczęto wznosić pierwsze trwałe domostwa,

Rolnicy osiedlali się na urodzajnych obszarach, głównie w żyznych dolinach wielkich rzek. Z czasem, gdy korzyści związane z nowym, rolniczo-osiadłym trybem życia stały się oczywiste, coraz więcej ludzi szukało lepszego losu napływając na takie tereny. Mnożyły się osady. Wzrastała ich zasobność. Nowe, dogodniejsze warunki życia sprzyjały powiększaniu się liczby ludności. Niektóre



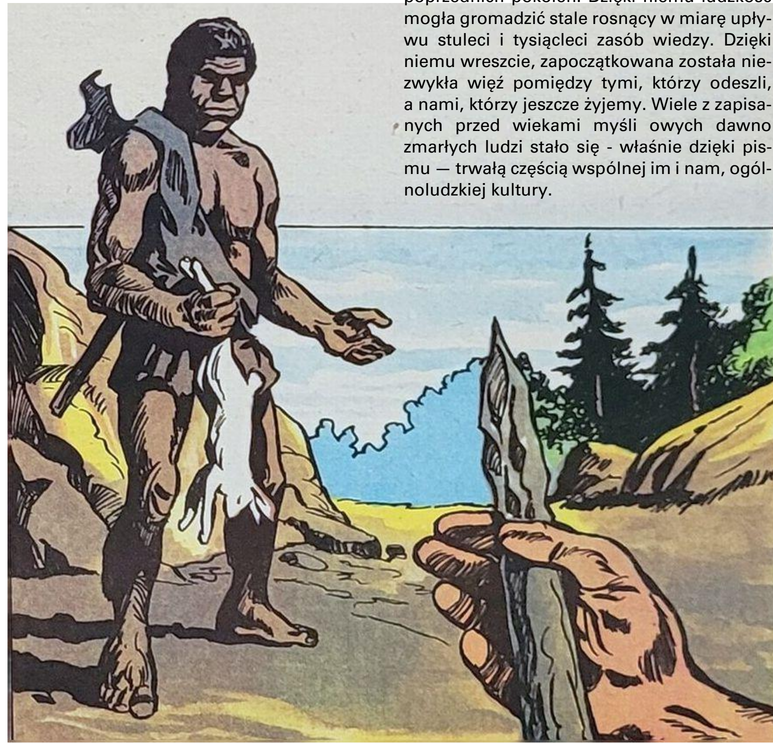
zapoczątkowując budownictwo. Nie ruszając się z miejsca, można było gromadzić pokaźny dobytek - liczne narzędzia, ozdoby, zapasy, sprzęty i przedmioty codziennego użytku.

Wkrótce rolnicy nauczyli się wytwarzać więcej ziarna niż sami potrzebowali. Część ludności mogła się więc poświęcić innym zajęciom. Zapoczątkowany został społeczny podział pracy, stanowiący podstawę cywilizacji. Podział pracy polega na tym, że każdy wytwarza dla wspólnego dobra to, co umie najlepiej, a w zamian za to otrzymuje od innych — w drodze wymiany — to, co jest mu potrzebne do życia.

z osiedli przekształciły się niebawem w pierwsze miasta.

Znaczne skupiska ludzkie ułatwiały wymianę doświadczeń i pomysłów. Rezultatem tego było pojawienie się w stosunkowo krótkim czasie wielu podstawowych, niezwykle ważnych wynalazków - takich jak pismo, umiejętność wytopu metali z rud, żagiel, koło i mnóstwo, mnóstwo innych - składających się w sumie na pierwsze cywilizacje.

Wśród tych zdobyczy szczególne, wyjątkowe wprost znaczenie miało pismo. Dzięki niemu można było odtąd w nieporównanie większym stopniu korzystać z doświadczeń poprzednich pokoleń. Dzięki niemu ludzkość mogła gromadzić stale rosnący w miarę upływu stuleci i tysiącleci zasób wiedzy. Dzięki niemu wreszcie, zapoczątkowana została niezwykła więź pomiędzy tymi, którzy odeszli, a nami, którzy jeszcze żyjemy. Wiele z zapisanych przed wiekami myśli owych dawno zmarłych ludzi stało się - właśnie dzięki pismu — trwałą częścią wspólnej im i nam, ogólnoludzkiej kultury.






**Po** wakacjach Antoś wrócił do szkoły dojrzalszy i wzbogacony o tyle cennych doświadczeń i wiadomości. Nie mówił już o „zdradzie" Meli, w ogóle dziewczynka jak gdyby przestała go interesować. Pani Narzymska zdecydowała się umieścić córkę na jednej z modnych „pensji dla panien" - czas był najwyższy, by Mela rozpoczęła systematyczną naukę. Ileż rzeczy powinna znać i umieć dobrze wychowana panienka!

Odtąd dziewczynka spędzała w domu jedynie niedziele i święta, i tak powoli rozluźniał się jej kontakt z mieszkańcami ulicy Świętego Rocha.

* * *

- Że też chce się cesarzowej Eugenii w taką pogodę jechać do jakiegoś Kairul - Zelia szczelnie otuliła się szalem. - Mnie by tam żadna siła nie wyciągnęła teraz z domu.

- Ależ Zelio — Róża odłożyła książkę. — W Kairze jest ciepło.. Gdy u nas brzydki listopad, tam wieczna wiosna i lato.

- Wszystko jedno - wstrząsnęła się Zelia. - Nie widzę powodu do tak dalekiej podróży.

- Jak to nie widzisz powodu? Przecież chodzi o epokowe wydarzenie, otwarcie Kanału Sueskiego. Pierwsze takie dzieło na świecie. Zaprawdę pan Lesseps to człowiek genialny.

- Żeby otwierano coś we Francji, to nie powiem, wówczas obecność cesarza i cesarzowej byłaby zrozumiała. Ale gdzieś tam w Egipcie!

- Ależ zrozum, Zelio. Korzystać z tego będą wszystkie narody, również i Francja. Na tę uroczystość zjeżdżają się władcy wielu krajów. Dlaczegóż miałoby zabraknąć cesarzowej Eugenii? Tym bardziej, że cesarz zostaje w domu.

- Właśnie, cesarz zostaje - Zelia wydęła wargi - ale cesarzowa Eugenia poleci na byle skinienie, byle się zabawić, byle nie siedzieć w domu.

- Jesteś niesprawiedliwa. Cesarzowa Eugenia lubi podróżować, cóż w tym złego? Z pewnością będzie najpiękniejszą z dam, jakie tam przybędą, a przede wszystkim najbardziej wytworną. Żebyś widziała moje hafty na krynolinie! Stare egipskie wzory.

To prawda, że cesarzowa Eugenia lubiła podróże, ciągnęły ją obce kraje, łaknęła wrażeń, nowych widoków, innych twarzy. Niestety, wysoka pozycja pozwalała zaspokajać wyłącznie te pragnienia, które były zgodne z racją stanu.

Dotąd żyła wspomnieniem pierwszej oficjalnej podróży, jaką wkrótce po ślubie odbyła wraz z małżonkiem do Anglii. Było to jeszcze w czasie wojny krymskiej, przed urodzeniem Lulu.

Dawna panna de Montijo oczarowała Anglików. Była nie tylko małżonką cesarza, ale przede wszystkim wyjątkowo piękną i szczęśliwą kobietą, która pragnęła podobać się.

Nawet purytańska królowa Wiktoria nie pozostała obojętna na uroki francuskiego gościa, toteż przyjęcie, jakiego doznała para cesarska w Windsorze wyróżniało się nie tylko wspaniałością ale i sercem.

Bale, obiady, przejażdżki stanowiły doskonałą okazję do prezentowania arcydzieł paryskich krawców i modystek. Angielskie damy pożerały wzrokiem coraz to wspanialsze krynoliny ze stolicy mody, z wymarzonego raju wytworność, wykwintu i szyku.

Cesarzowa Eugenia słyszała dokoła siebie wyłącznie szepty zachwytu, olśniewała cesarskim diademem na jasnych włosach, błękitem spojrzenia, przejrzystością karnacji, posągowym kształtem obnażonych ramion i szyi, na której lśniły coraz wspanialsze kolie od jubilerów z ulicy de la Paix.

Przy niemłodej, nieładnej i nieeleganckiej królowej Wiktorii, wśród jej dam równie przyćmionych i nieefektownych, ta promienna pięk-

Dokończenie na str. 7